STRAŻ POLSKA

ILUSTROWANE CZASOPISMO LITERACKIE
POŚWIĘCONE KULTURZE, HISTORJI I WYCHOWANIU



TREŚĆ ZESZYTU 8:

Redaktor naczelny: STEFAN RAYSKI.

Zeszyt obejmuje wraz z dodatkiem historycznym i okładką 52 stronic druku, przy cenie 80 groszy.

Nr. 8. Grudzień 1934. R. I. (III).

Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

STRAŻ POLSKA

ILUSTROWANE CZASOPISMO LITERACKIE POŚWIĘCONE KULTURZE, HISTORJI, TWÓRCZOŚCI WYCHOWANIU, IDEI NIEPODLEGŁOŚCIOWO-MOCARSTWOWEJ I PRACY PAŃSTWOWO-TWÓRCZEJ

Nr. 8. GRUDZIEŃ 1934. ROK I. (III).

W święto Narodzin Boga.



„Straż Polska" śle Sternikom Zmartwychwstałej Rzplitej, oraz wszystkim swoim Prenumeratorom, Czytelnikom, Zwolennikom Idei i Przyjaciołom pisma — z głębi serca płynące życzenia najpomyślniejszej Przyszłości, hartu ducha i wytrwania w trudzie składanym Państwu Odrodzonemu w ofierze. Polskiej Szkole, Placówkom Oświaty, Kultury i ukochanej Młodzieży polskiej ślemy staropolskie życzenie: Szczęść Boże!

Upraszamy wszystkich P. T. Odbiorców o odwrotne wysłanie PRZEDPŁATY na „Straż Polską" na najbliższy rok 1935 załączonym przekazem rozrachunkowym, wolnym od wszelkich opłat pocztowych!

Wielki uczony, wielki patrjota...

Trzydzieści lat pracy naukowej P. Prezydenta Rzeczypospolitej.

W grudniu br. świat naukowy polski a wraz z nim cała Polska obchodzi 30-lecie pracy naukowej Głowy Państwa — P. Prezydenta Rzeczypospolitej, prof. dr. Ignacego Mościckiego. Minęło lat 30 od ogłoszenia pierwszej pracy naukowej, przedstawionej Polskiej Akademji Umiętności. Tytuł tej pierwszej pracy brzmiał: „Badanie wytrzymałości dielektryków“. Odtąd rozpoczyna się bogata działalność naukowo-technologiczna P. Prezydenta, stanowiąca wielki dorobek w świecie nauki i techniki. Cechą charakteryst. działalności naukowej P. Prezydenta Mościckiego jest różnorodność podejmowanych problemów i to przeważnie problemów wielkich, związanych z rzeczywistemi potrzebami gospodarczemi. Działalność tę cechuje nietylko głęboka wiedza i sprawność techniczna, ale przedewszystkiem umiłowanie samej pracy podejmowanej zawsze z myślą o wielkiej, mocarstwowej Polsce. I ten moment działalności Dostojnego Jubilata trzeba jaknajplastyczniej uwypuklić. Jako student Politechniki Ryskiej, zostaje On usunięty z niej za działalność niepodległościową. Emigruje do Anglji, gdzie przez szereg lat pracuje w charakterze zwykłego robotnika w fabrykach londyńskich. Tu rozwija żywą działalność wśród kół niepodległościowych licznej emigracji polskiej, tu styka się z Józefem Piłsudskim, dzisiejszym Marszałkiem Polski. Myśl o wielkiej, potężnej Polsce jest ideą przewodnią poczynań i prac naukowych Dostojnego Jubilata. Głęboki patrjotyzm jest Mu bodźcem w realizowaniu niezliczonej ilości pomysłów naukowych.

PRACE NAUKOWE.

Głównemi dziedzinami zainteresowań i twórczej pracy P. Prezydenta są tematy wchodzące w zakres *chemji nieorganicznej, elektrochemji, elektrotechniki, i elektrofizyki, oraz związane z przeróbką ropy naftowej i gazów ziemnych.* Uzyskanie w r. 1897 stanowiska asystenta przy katedrze fizyki prof. Józefa Wierusza Kowalskiego na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim, umożliwiło P. Prezvdentowi realizację pomysłów twórczego Jego umysłu. Z prac naukowych w tym okresie wysuwa się na pierwszy plan *opracowanie metody i aparatury dla produkcji kwasu azotowego z powietrza.* Dla realizacji tej koncepcji powstało w 1901 r w Fryburgu Szwajcarskim „Societe de l'acide nitrique“ o kapitale przeważnie polskim. Pierwszą próbną tego rodzaju fabrykę (na 25 KW) uruchomiono w Fryburgu w 1903 r., a wobec pomyślnych wyników dla dalszych prób analogiczną, ale większą (na 75 KW), w Vevey. Przedmiotem prac badawczych i patentów tej ostatniej były urządzenia elektro-techn i elektrochem. Sfinansowaniem *kondensatorów i bezpieczników* zajęło się powstałe w tym celu „Societe generale des condensateurs electriques a Fribourg“. Wyroby zbudowanej przez tę firmę fabryki zdobyły sobie z miejsca rynek M. in. fabryka ta dostarczyła kondesatory na 100.000 volt napięcia systemu P. Prezydenta dla największej wówczas stacji telegrafu bez drutu ną wieży Eifla. Kondensatory te przetrwały całą wojnę światową. W 1905 r. zostaje uruchomiony *nowy model pieca elektrycznego*, o wirującym płomieniu, dla produkcji kwasu azotowego. W związku z realnymi widokami rentownej produkcji kwasu azotowego z powietrza na dużą skalę, zaszła konieczność opracowania odpowiednich *urządzeń dla absorbcji wychodzących z pieca tlenków azotu.* Problem ten został rozwiązany w sposób prosty i wprost idealny, przewyższając znacznie inne tego rodzaju instalacje. Wartość wież absorbcyjnych pomysłu P. Prezydenta dała się ująć z wielką wyrazistością, gdy wprowadzono ją w Państwowej Fabryce Związków Azotowych w Chorzowie, gdzie mimo ośmiokrotnie mniejszej objętości w stosunku do wież pozostałych z czasów niemieckich, zdolność ich przeróbcza była znacznie wyższa. Wobec tak pomyślnych wyników wszystkich zagadnień, związanych z metodą produkcji kwasu azotowego z powietrza „Aluminium Industrie A. G. Nehausen“, zakupiwszy w 1908 r patenty od Societe de l'acide nitrique a Fribourg“, buduje w Chippis, w kantonie Wallis dużą fabrykę kwasu azotowego (na 2000 KW) wg. projektów P. Prezydenta przy czynnej Jego współpracy. W 1910 r. wypuszczono z tej fabryki pierwszą w świecie cysternę stężonego kwasu azotowego z powietrza. Podczas wojny światowej Szwajcarja dzięki tej fabryce była niezależna od dowozu saletry chilijskiej. W łączności z zagadnieniem produkcji kwasu azotowego z powietrza. P. Prezydent opracował *metodę produkcji cjanowodoru z azotu i węglowodorów w piecu o wirującym płomieuiu elektrycznym.* Pomyślne wyniki tej metody osiągnięte w 1912 r. w próbnej fabryczce (na 75 KW) w Neuhausen pozwoliły na jej realizację na skalę przemysłową w fabryce „Azot“ w Borach pod Jaworznem.

REALIZACJA NAJGORĘTSZEGO PRAGNIENIA.

Pragnienie czynnego służenia Polsce zrealizowało się w 1912 r., gdy P. Prezydent został mianowany ad personam profesorem zwyczajnym chemji fizycznej i elektrochemji technicznej Politechniki



Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Prof. Dr. Ignacy Mościcki.

Lwowskiej. Oto własne jego słowa: *„To też kiedy zdałem sobie jasno sprawę z tych nadzwyczajnych stosunków, które pozwoliły mi na odpowiednie wykształcenie swych twórczych kwalifikacyj, powstało jedyne pragnienie powrotu jaknajprędzej do kraju, żeby resztę swego życia móc tam poświęcić nad współdziałaniem w rozbudowie przemysłu, oraz stworzyć odpowiednie środowisko, w którem możnaby wyszkolić cały szereg młodych ludzi w kierunku twórczej pracy technologicznej"*.

Cały szereg aparatów i maszyn, pozostałych z okresu prac we Fryburgu, zakupił P. Prezydent od „Societe de l'Acide de Nitrique" i ofiarował Politechnice Lwowskiej.

Po zorganizowaniu Instytutu Elektrotechnicznego we Lwowie opracował P. Prezydent plany fabryk: kwasu azotowego w Miluzie i żelazocjanków w Borach pod Jaworznem. Wojna światowa uniemożliwiła ich realizację. W latach 1915—1917 pełni P. Prezydent obowiązki dziekana wydziału chemicznego Politechniki Lwowskiej. W tym też czasie podejmuje z udziałem prof. Sokolnickiego pierwsze kroki w kierunku budowy fabryki kwasu azotowego w Jaworznie.

PIERWSZA PLACÓWKA NAUKOWO - BADAWCZA.

Powzięta jeszcze na obczyźnie myśl stworzenia w kraju placówki twórczej naukowo-badawczej, któraby zarazem stanowiła szkołę dla przyszłych pionierów polskiego przemysłu chemicznego, zostaje zrealizowana w 1916 r. przez powołanie we Lwowie do życia spółki pod nazwą *Instytut Badań Naukowych i Technicznych „Metan"*. Działalność tej instytucji ograniczyła się początkowo do zagadnień z dziedziny gazów ziemnych i przeróbki ropy. W 1917 roku spółka ta rozpoczęła wydawnictwo miesięcznika „Metan", który po trzech latach istnienia przemianowano na *„Przemysł Chemiczny"*, stanowiący dotychczas główny organ naukowo-technologiczny w Polsce. Udziałowcy spółki „Metan", porwani przykładem i zapałem P. Prezydenta, zrzekli się w 1922 r. swych udziałów na rzecz nowopowstającego „Chemicznego Instytutu Badawczego" przeniesionego w 1926 r. do Warszawy. W okresie tym opracownje P. Prezydent metodę i aparaturę dla przeróbki emulsji ropnej. Trzy patenty dotyczące tego problemu przypadły w udziale spółce „Metan". Pozatem zgłasza szereg patentów interesujących przemysł naftowy. W 1921 r. zostaje P. Prezydent mianowanym profesorem zwyczajnym technologji chemicznej nieograniczonej i elektrochemji technicznej Politechniki Lwowskiej, w tym też roku na wniosek Wydziału Mechanicznego uzyskuje tytuł doktora honoris causa za zasługi na polu nauk, i przemysłu.

URUCHOMIENIE KOLOSA CHORZOWSKIEGO.

W 1922 r. przejmuje P. Prezydent imieniem rządu polskiego fabrykę związków azotowych w Chorzowie. *Uruchomienie tego kolosa przemysłowego stanowi jedną z najbardziej chlubnych kart w życiu P. Prezydenta.* Niemcy odchodząc sądzili, że Polacy nie potrafią puścić w ruch tego ogromnego objektu i zwrócą się do nich o pomoc, to też zniszczyli jedynie plany, pozostawiając nienaruszone maszyny, aparaty i wszelkie urządzenia fabryczne. Tymczasem P. Prezydent przy pomocy młodych polskich inżynierów, nietylko fabrykę uruchomił, ale wprowadził szereg ulepszeń i przedsiębiorstwo deficytowe za administracji niemieckiej, przekształcił w rentujące się. W czerwcu 1925 r. zostaje P. Prezydent wybrany rektorem Politechniki Lwowskiej, zrzekł się jednak tej godności, przyjąwszy w sierpniu tegoż roku katedrę w Politechnice Warszawskiej, dokąd miał być też przeniesiony Chemiczny Instytut Badawczy. Intersywna praca naukowo-technologiczna P. Prezydenta w Państwowej Fabryce Zw. Azotowych w Chorzowie, w Politechnice Lwowskiej i Chemicznym Instytucie Badawczym zostaje zahamowana przez wybór w dniu 1 czerwca 1926 r. na Prezydenta Rzeczypospolitej. Żegnając Lwów, uzyskuje P. Prezydent tytuł profesora honorowego Politechniki Lwowskiej.

MOŚCICE.

Po objęciu steru nawy państwowej interesuje się P. Prezydent w miarę czasu nadal problemami naukowo-technicznymi. Należy tu wymienić przedewszystkiem *budowę fabryki Związków Azotowych w Mościcach*, opartej o najnowsze metody stosowane w przemyśle. Zagadnienia te opracowane zostały w Chemicznym Instytucie Badawczym itd. Jedną z ostatnich prac stanowi metoda i aparatura, pozwalająca na stworzenie w lokalach zamkniętych warunków zbliżonych do tych, jakie spotykamy w górach.

Pełne uznanie działalności naukowo-technologicznej P. Prezydenta znalazło wyraz w mianowaniu Go: Doktorem honoris causa Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej, Wydziałów Chemicznego i Elektrotechnicznego Politechniki Warszawskiej, Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, Paryskiej Sorbony, Wydziału Prawniczego Uniwersytetu w Tartu (Dorpat) i członkiem honorowym Akademji Nauk Technicznych w Warszawie, której był członkiem - założycielem. Ponadto P. Prezydent jest członkiem czynnym Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie oraz członkiem zwyczajnym Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. W święto jubileuszu 30-lecia pracy naukowej Włodarza Najjaśniejszej Rzeczypospolitej świat nauki polskiej, wraz z nim cała Polska, składa Mu hołd, jako wielkiemu uczonemu i wielkiemu patrjocie!

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI. Lwów.

Lećcie Orlęta.

Wiersz wręczony oddziałowi Legjonistów krośnieńskich, odjeżdżających na zbiórkę w Oleandrach do Krakowa.

Lećcie Orlęta na pola chwały —
Lećcie Ojczyźnie rwać pęta!...
Dnie wyzwolenia nam zajaśniały...
Dziś Matka wzywa was święta!

Lećcie — o — lećcie na krwawe boje
Za wolność drogiej Macierzy!
W pioruny wasze zamieńcie zbroje;
Bo ten zwycięża, — kto wierzy!...

Lećcie na one śmiertelne tany
Niech zadrży orzeł dwugłowy!
Skruszcie Ojczyźnie krwawe kajdany!
Zerwijcie wieniec cierniowy!

Dość nam już hańby i upodlenia!
J dość męczeństwa w niewoli!
Lećcie!... Niech sława was opromienia
— Bóg Wam zwyciężyć pozwoli!

Krosno, w sierpniu 1914.

*

Cześć Niewiastom lwowskim!

Cześć Wam Niewiasty szlachetnego Grodu,
Matki, — Spartanki polskie, — godne chwały,—
Za waszą troskę o wolność Narodu, —
Miłość Ojczyzny, w jakiejście chowały
Tych Waszych Synów — bohaterów dzielnych,
Gotowych zawsze do obrony Lwowa, —
Dokazujących czynów nieśmiertelnych,
Które historja przyszłości przechowa!...
Bo, kiedykolwiek nadeszła potrzeba
By stanąć wiernie na służbie Ojczyzny, —
Lać kule, — szarpie, — bandaże z bielizny
Dla rannych; — czy też ponieść troskę chleba; —
Czy innych wielkich ofiar, — wielkich trudów,
Pierwsze, ofiarnie stałyście w szeregu,
Dokazywały nieraz męstwa cudów
Podczas krwawego powstania przebiegu, —
Czy innych zdarzeń, z minionej niewoli;
By służyć Polsce w doli i niedoli!...

Dziwneż — że podczas ostatniej zamieci,
Którą wzniecila w kraju ręka wroga,
Bohaterami były Lwowskie dzieci? —
— Bo milszą była im Ojczyzna droga
Nad własne życie, — uciechy, zabawy! —
— Toż z karabinem biegły w ten tan krwawy!
J świat zdumiewał się nad dzieci męstwem,
Które wsławiło Lwów po wszystkie wieki!
— Choć krwią spłynęły i drogi i rzeki,
Znów Lwów zajaśniał wspaniałem zwycię-[stwem! —
J stare mury okryła znów chwała
Tej dziatwy, którą Lwowianka chowała! —

— — — — — — — — — — — —

Wasz trud docierał za więzienne kraty —
By uwięzionym nieść pociechy słowa, —
Więźniom otwierał nieraz kazamaty; —
Uwoził skrycie poza mury Lwowa...
— Wam winien wdzięczność ten nasz Orzeł [biały, —
Boście „Orlęta" Polsce wychowały!

Więc dziś, w rocznicę walk w obronie Lwowa
Hołd Wam należy złożyć zasłużony! —
— Wdzięczną Wam pamięć Ojczyzna zachowa
Za laur przydany do Piastów korony —
Za Waszą miłość, — wierność, — poświęcenie,
Które świat cały wprawiło w zdumienie!—
— Więc cześć Wam! —
Niechaj radość opromienia
Dziś Wasze czoła w tym dniu Grodu chwały!
Poległym chlubne poświęćcie wspomnienia!
Niechaj się za nich pomodli Lwów cały...
Wiązanki kwiecia złóżcie na mogiły,
By się im one dnie chwały przyśniły!

Lwów, 17. listopada 1934 r.

Ważne dla P. T. Prenumeratorów!

Zawiadamiamy P. T. Prenumeratorów „Straży Polskiej", iż od NOWEGO ROKU 1935 WZBOGACAMY ŁAMY NASZEGO PISMA w tym kierunku, by każda Szkoła Polska, każda Placówka Oświatowa, każdy Wychowawca, oraz wszystkie bibljoteki i świetlice — korzystać mogły z artykułów i utworów przeznaczonych na obchody państwowe, narodowe i t. p. W tym celu ZAPEWNILIŚMY NASZEMU PISMU WSPÓŁPRACĘ SZEREGU WYBITNYCH OSOBISTOŚCI ZE ŚWIATA NAUKOWEGO, LITERACKIEGO I OŚWIATOWEGO, których cenne prace oświatowej zamieszczać będziemy. Dostarczać zatem będziemy naszym czytelnikom wysokiej wartości pismo, dające niezmierne korzyści każdemu, kto pracy społecznej i państwowo-twórczej się poświęca.

Już w najbliższym numerze (styczeń 1935) „Straży Polskiej" pojawi się cenna praca pedagogiczna pióra Referenta Wychowania i Wizytatora Ministerstwa Wyzn. Rel. i Oświecenia Publ. Dr. JANA KUCHTY.

HENRYK CEPNIK. **Lwów.**

Pamiętna noc ...*)

Z moich wspomnień górnośląskich.

Wyrywam jedną z najdroższych dla mnie kart z moich wspomnień górnośląskich. Noc z 2-go na 3-go maja 1921 roku... Przebywałem od przeszło już pół roku na Górnym Ślasku, prowadząc tam z ramienia Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego „Teatr Górnośląski“, który spełniał misję propagandową wśród ludu górnośląskiego, wędrując z miejsca na miejsce z przedstawieniami i koncertami. Siedzibą naszą był Bytom i tam w dniu 2 maja 1921 roku zapowiedziany był wielki Wieczór Artystyczny ku uczczeniu rocznicy Konstytucji 3-go Maja. Jak na wszystkie wogóle przedstawienia „Teatru Górnośląskiego“, tak i na tę uroczystość bilety na kilka dni naprzód zostały rozkupione. Program był nadzwyczajny i oprócz części deklamacyjnej, oraz przedstawienia obrazka scenicznego W. Gomulickiego pt. „Majowe święto“, obejmował w części muzycznej takie dzieła, jak „Morskie Oko“ i „Step“ Noskowskiego, oraz „Polonję“ Wagnera w wykonaniu własnej orkiestry, złożonej z 46 muzyków. Oczekiwaliśmy tego wieczoru z prawdziwem nabożeństwem. Nic dziwnego — miało to być pierwsze publiczne uczczenie wiekopomnej rocznicy przez Polaków górnośląskich, i to na deskach teatru niemieckiego. Nie spodziewaliśmy się, że wieczór ten złączy się z innem historycznem zdarzeniem w dziejach polskiego Górnego Śląska. Jak byliśmy tego pewni, wieczór wypadł wspaniale. Uderzyło mnie jednak odrazu — że mimo wysprzedania wszystkich biletów, liczne miejsca na widowni były puste. Objawiało się także wśród publiczności widoczne podniecenie. W antraktach tworzyły się grupki ludzi i żywo dyskutowały. Odczuwało się jakiś nastrój niezwykły — nastrój oczekiwania czegoś, co przyjść ma niespodzianie. Mówiono o tem rozmaicie, ale nikt nie wiedział nic napewne. Dopiero w parę godzin po przedstawieniu zagadka wyjaśniła się. W nocy z 2-go na 3-go maja wybuchło na Górnym Śląsku powstanie. Dzielny lud górnośląski chwycił za broń, aby czynem orężnym zadokumentować przed światem swoją niezłomną wolę złączenia się na zawsze z Macierzą. Niezapomniana chwila — niezapomniane wrażenie! Po przedstawieniu wróciłem co domu — mieszkałem przez cały czas w hotelu „Schlesicher Hof“ w Bytomiu, tuż obok dworca kolejowego. Z okna mego mieszkania na drugiem piętrze miałem widok na daleką przestrzeń. W powietrzu powstała dziwna, niezwykła cisza. Nagle, a było to już około północy, rozległ się w dali głos dzwonu. Najpierw odezwał się gdzieś w okolicy Bytomia jeden dzwon, za nim drugi i trzeci, a w chwilę potem wypełniły powietrze dźwięki niezliczonych dzwonów. Jakby cały Górny Śląsk zamienił się w jeden olbrzymi dzwon, grający najrozmaitszymi tony. Muzyki tej nie zapomnę do śmierci. Był w niej dziwny majestat, była ogromna potęga, która przejmowała do głębi i budziła wzruszenie, jakiego doznaje się w chwili naprawdę wielkiej. A z dźwiękiem dzwonów mieszały się dźwięki pieśni, a gdzieniegdzie przejmujące dźwięki syren w kopalniach i fabrykach. Równocześnie to tu, to tam, zabłysły w oddali światła, a wkrótce potem zajaśniało wśród ciemności nocy jedno wielkie morze świateł, oświetlając całą okolicę aż hen, po granice Polski. Wśród tych świateł zaś widziało się olbrzymie tłumy ludu. Szli z chorągwiami, jakby procesja, a w niebo bił majestatyczny dźwięk dzwonów, jednocząc się z dźwiękami śpiewanych pieśni nabożnych i narodowych w przepotężną harmonję pieśni odrodzenia, pieśni zmartwychwstania... My wszyscy, którzyśmy na to wszystko patrzyli i tego słuchali, mieliśmy łzy w oczach. Była to rzeczywiście chwila tak uroczysta, a w nastroju swoim tak przecudna, że napróżno nawet silić się na opisanie jej słowami. Kto ją przeżył, może powiedzieć o sobie, że przeżył prawdziwie podniosłą chwilę w swem życiu, choćby ono niewiedzieć jak było bogate w niezwykłe momenty i wspomnienia. Lud górnośląski, nieodrodni potomkowie prastarego ludu piastowego powstali z pieśnią i imieniem Boga na ustach, aby zaprotestować przeciw matactwom dyplomatycznym, upomieć się o swe prawo do życia w związku z Macierzą i stwierdzić, że — jak Polakami się narodzili, tak raczej im Polakami zginąć, niżby mieli nadal dźwigać jarzmo krzyżackiego ucisku. W dziejach walki o przyłączenie Górnego Śląska do Polski ten odruch żywiołowy ludu górnośląskiego pozostanie na zawsze pamiętny, jako męski, nieliczący się z względami dyplomatycznymi wyraz woli tego ludu — powrotu na łono Macierzy po długich latach niewoli. A owa noc przedziwna z 2-go na 3-go maja 1921 pozostanie na kartach dziejów odrodzonej Polski zdarzeniem niezapomianego znaczenia, gdyż w mrokach jej zrodził się Czyn, który najwięcej przyczynił się do ostatecznego zadecydowania o przynależności Górnego Śląska do Polski. — Cześć ci, pamiętna nocy, któraś była kolebką nowej przyszłości prastarej dzielnicy piastowej!

---

*) Oto garść wspomnień czcigodnego Jubilata, który niedawno we Lwowie obchodził 35-lecie Swej pełnej zasług pracy publicystycznej, społecznej i patjotycznej. Lwów złożył w listopadzie hołd i wdzięczność swą dla niezłomnego trudu Henryka Cepnika. I „Straż Polska“ przyłącza się do tego aktu hołdu życząc Jubilatowi z głębi serca: Ad multos annos!



ALEKSY RŻEWSKI. Łódź, 1934.

Łódź a powiat.

(Korespondencja własna „Straży Polskiej").

Wieś i miasto — to dwie odrębne struktury gospodarcze, które jednakże wzajemnie się uzupełniają i harmonijnie ze sobą współdziałać powinne. Stosunek ich wzajemny cechować musi nie antagonizm, a zgodna, skoordynowana praca, oparta na należytem zrozumieniu różnorodności interesów. Chodzi bowiem o podział funkcyj w życiu gospodarczem społeczeństwa, wykonywanych zawsze dla dobra ogółu. Poza momentami ustawy ekonomicznej, łączyć powinna wieś z miastem — idea demokratycznego samorządu, a stąd płynąć wzajemne poszanowanie dla tej roli, jaką samorząd w tej, czy innej postaci, w życiu zbiorowem odgrywa. Przy tak pojętem stanowisku niema miejsca dla tendencyjnej polityki ekspansywnej miast na szkodę obszaru wiejskiego. Tylko tam, gdzie nastąpiła zmiana warunków gospodarczych i dokonało się przeistoczenie charakteru osiedla, tam wieś ustąpić musi rozrastającemu się organizmowi miejskiemu.

Łódź, miasto wytężonej pracy, miasto nowoczesnej produkcji, miasto wielkich poczynań społecznych, miasto masowego ruchu robotniczego, miasto surowe — przez wielu uważane za złe i brzydkie, posiada jednak swoje odrębne piękno i duszę zbiorową solidarną, pomimo różnorodności klasowej, czy wyznaniowej. Przyśpieszone tętno pracy, praktyczność w ujmowaniu zjawisk życiowych i gospodarczych, rozmach, ekspansja, pewna nawet krzykliwość, przy braku zupełnym tradycyj historycznych, składają się na amerykanizację pojęć i myśli. Zewnętrzny wygląd miasta, architektura są również odbiciem tego potężnego rytmu przemysłowego. Las kominów, zwarte bloki masywów kamiennych mówią o potędze Łodzi, wartości pracy ludzkiej i bogactwach. Rozmach niesamowity wielkich fortun przemysłowych, z drugiej strony nędza straszliwa na przedmieściach, wskazują, że w czasach niewoli nie było tu życia samorządowego i opieki społecznej nad dzieckiem, matką i pokrzywdzonymi przez los i warunki. Miasta na zachodzie rozwijały się w szczęśliwszych warunkach, nie znały niewoli i Pieńkowskich. Pogoń za nowością w dziedzinie sztuki literatury, kina, handlu i przemysłu są charakterystyczną cechą łódzkiego środowiska. Łódź jest mieszaniną narodowościową z nieznaczną przewagą polskości, stąd płynie międzynarodowość, kosmopolityzm, obok polskiej żarliwości patrjotycznej. Warszawski robotnik ulega więcej wpływom międzynarodowym, aniżeli łódzki.

Dawne upośledzenie Polaków w przemyśle łódzkim odbiło się również i na naszej dumie i stwierdzić trzeba, że robotnik i inteligent polski w Łodzi odczuwał nietylko na swojej skórze ucisk polityczny, społeczny, ale przedewszystkiem narodowy. Licząc się z tym faktem, wszystkie stronnictwa robotnicze i mieszczańskie jeszcze przed wojną akcentowały dość dobitnie w swoich programach i taktyce interesy i dążenia narodowe. Dymy łódzkie nie zaciemniały nigdy słońca ideałów, poświęcenia i ofiarności, umiłowania dla sztuki, poezji i piękna, zawsze było tu dość ludzi, którzy w najcięższych latach nie umieli spokojnie obcinać kuponów i gnić w niewoli, lecz gardzili pełzaczami i snobizmem bezdusznym. Łódź—to nie miasto emerytów, lub starczego przeżuwania przeszłości, przygniatającej mrokiem minionych wieków teraźniejszość, ale miasto - młodzieniec prężące w słońcu, tęsknocie do czynu swoje ramiona, to wyzwanie rzucone w twarz pleśni schyłkowcom, przewrażliwionym, niezaradności, lenistwu i bezczynności... Widziałem Łódź nieraz w czasie smutku i cierpienia, w czasie uniesień, burz i gromów, widziałem ją w czasie epidemji głodu podczas okupacji i przygnębienia. Jednak rogata dusza Łodzi przejawia się w każdym z tych okresów. Posiada ona wrodzonego ducha przekory wobec niesprawiedliwości, posiada swoich bohaterów i męczenników niepodległości.. Łódź nieraz traktowano po macoszemu, nie otrzymaliśmy swego czasu ani tych przydziałów żywnościowych, ani tych uprawnień podatkowych i opieki, co Warszawa; Łódź traktowano jak natręta, impertynenta, parwenjusza, dorobkiewicza, lub jak wyrodne dziecko. Nie zrozumiano Łodzi. Nie oceniano sprawiedliwie jej wpływów podatkowych i konieczności jej głosu w sprawach najżywotniejszych dla jej rozwoju.

Nie dziw więc, że Łódź odpłaca pięknem za nadobne, skarży się i żali, lub zgrzyta zębami w swoich memorjałach, oraz rezolucjach wszystkich warstw i różnorodnych zrzeszeń. Łódź jest krzywdzona, wyśmiewana przez ludzi, którzy ją tylko na pewien czas eksploatować pragną... Obawiają się Łodzi ci wszyscy, których obejmuje strach przed zwycięskim pochodem przemysłu do zaścianka wsi polskiej, do stosunków patrjarchalnych, do zaśniedziałości życia cechowego.. Zapominają ci ludzie, że tylko w uprzemysłowionem państwie powstać mogą nowe formy bytowania, zrealizować się mogą ideały, do których ludzkość dąży poprzez wieki, że bez wielkiego przemysłu państwo nowoczesne jest kaleką, zależnym od innych, a podczas wojny zdane na łaskę i niełaskę sąsiadów.

Tam, gdzie niema przemysłu, niema nowoczesnego ustawodawstwa społecznego, niema mieszczaństwa, niema demokracji, niema zbytu dla produktów rolnictwa. Dla nas jest ono potężnym warsztatem pracy i jednym z czynników na drodze do uprzemysłowienia kraju. Ile napsuto papieru, ile zwołano konferencyj, narad, ile razy przyjeżdżano z Warszawy do Łodzi, ażeby zdobyć tajemnicę szybkiego i skutecznego wprowadzenia przymusu szkolnego i powszechnego nauczania w Łodzi. Napróżno jednak. Łódź potrzebowała na tę ważną reformę tylko dwa lata (1919—1921) a Warszawa na to samo aż piętnaście. Warszawa konsumuje, a Łódź produkuje. Inne tempo pracy i psychologja jest u konsumenta, a inne u producenta. Warszawa — to rozkapryszone, rozbawione dziecko, a Łódź — to syn, wypędzony z domu ojca, który odbierał w życiu więcej ciegów, aniżeli pieszczot. Syn, co łokciami przedzierał się przez życie i własnym wysiłkom zawdzięcza pracę i dobrobyt. Nie chcę przez to porównanie zmniejszyć roli Warszawy, jako serca i mózgu Polski. Wszędzie, na całym świecie stolice są uprzywilejowane, jako miasta, które nietylko reprezentują siebie, swoją gospodarkę, ale prestiż całego państwa, jednak podkreślić trzeba, że to uprzywilejowanie ma swoje dodatnie i ujemne dla miasta strony. Reprezentacja stała przedstawicieli samorządu w różnych uroczystościach osłabia często energję i intensywność wysiłków w pracy. Minęły czasy romantyzmu orężnego, dziś wytwory przemysłowe podbijają, jak ongiś oręż, coraz to nowe przestrzenie dla ludzkiej pracy i ducha. Łódź rozsławia imię polskie po całym świecie.

Na dalekich przestrzeniach Syberji, Mandżurji, Persji, Afganistanu, Turkiestanu, Buchary i Chin wytwory polskiej pracy zdobywają sobie mir i uznanie. Po utracie rosyjskich rynków zbytu Łódzki Związek Eksportowy dociera wbrew temu, co mówi i pisze prasa stołeczna, do najdalszych zakątków świata. W Łodzi w turkocie wrzecion, w pędzie transmisyj i huku motorów tworzą się i wzrastają te wartości gospodarcze, na których podstawie świat dzisiejszy ocenia rozwój i potęgę państwa. Zależność powiatu od miasta i odwrotnie jest koniecznością życia gospodarczego. Łódź promieniuje stale kulturalnie, politycznie, gospodarczo na powiat. Wszystkie zrzeszenia i odcienie myśli politycznej — posiadają swoje ekspozytury na terenie powiatu. Echo Łodzi dociera do każdej wsi, do każdego zakątka, do każdej instytucji kulturalnej i społecznej, zależnej zawsze finansowo od centrali w Łodzi. Powiat jest obrazowym przeglądem rozwoju gospodarczego przemysłu włókienniczego, od chałupnictwa do wielkiego przemysłu maszynowego. Konstantynów dziś jeszcze jest ośrodkiem i podstawą ręcznego bawełnianego przemysłu tkackiego. Aleksandrów — ręcznego tkactwa wełnianego, pończosznictwa o bogactwie różnorodnem metod pracy i techniki. Zgierz i Ruda Pabjanicka są przedwstępnym etapem do wielkiego przemysłu włókienniczego. Rolnictwo powiatu znajduje się również w ścisłym związku z Łodzią. Zły stan rolnictwa odbija się ujemnie na pojemności rynku wewnętrznego, maleje i kurczy się zapotrzebowanie na towary włókiennicze, narzędzia rolnicze, produkty rynku miejskiego. Kwitnący stan rolnictwa przyczynia się do rozwoju warsztatów pracy wiejskiej i jest jednym z najważniejszych czynników uprzemysłowienia kraju.

Wieś wytwarza produkty roślinne i zwierzęce, a więc to, co jest podstawą konsumcyi Łodzi. Z aprowizacyjnego punktu widzenia, miasta muszą się interesować rozwojem kultury rolnej na wsi i dbałością o należyty rozwój rolnych warsztatów pracy. W podniesieniu konsumcji rynku wewnętrznego są w równej mierze interesowane: miasto i wieś. Zakłady przemysłowe w Łodzi wchłaniają nadwyżkę bezrolną i małorolną powiatu łódzkiego i są źródłem zarobku dla ludności, zamieszkującej tereny podmiejskie. W ostatnim czasie Magistrat m. Łodzi, zakupując objekty dla opieki społecznej w Romanowie, budując sanatorjum w Łagiewnikach, a cegielnię mechaniczną w Rszewie, przyczynił się do uprzemysłowienia powjatu, oraz dostarczenia pracy bezrobotnym naszych miasteczek i wsi. Z tego widzimy, że wzajemna zależność miasta i powiatu prowadzić musi do ścisłego współdziałania tak w dziedzinie kulturalnej, oświatowej jak samorządowej. Wprowadzenie przymusu szkolnego, budownictwo szkół powszechnych w Łodzi wpłynęło również dobroczynnie na powiat łódzki, który najwcześniej ze wszystkich powiatów województwa łódzkiego wprowadził i zrealizował całkowicie przymus szkolny i budownictwo pięknych i obszernych szkół ludowych na wsi. Współdziałanie więc przynieść może tylko obopólne korzyści tak jednej, jak i drugiej stronie. W tej intencji napisałem ten artykuł, jako b. prezydent Łodzi, rozumiejąc potrzeby rodzinnego miasta oraz jako b. przewodniczący Wydziału Powiatowego, w którego działalności społecznej i służbowej leżał pomyślny rozwój tak miasta, jak i powiatu. Współpraca jaknajściślejsza samorządów powiatowych z samorządami miejskiemi staje się nietylko zagadnieniem taktycznem, ale koniecznością programową pracy samorządowej w Polsce.



PIOTR ŻMUDA. Kraków.

Łomnica.

Cudna Łomnico, Tatrów królowo!
W twoje podwoje z schyloną głową
Po rocznej przerwie znowu przychodzę...
Z szumem siklawy mych myśli wodze
Rzucam na skalisk turnie szarpane — —
Jakżeż tu barwnie! Słońcem zalane
Kąpią się w tęczach tatrzańskie szczyty,
A wśród nich, w mgielny woal spowity
Króluje profil skalny Łomnicy —
Jak wieża jakiejś silnej strażnicy,
Co — w Polskę patrząc swemi oczyma —
Od wieków wierną straż nad nią trzyma...
— — — — — — — — — — — —
Przez fantastycznie skaliste mury
Coraz to wyżej pnę się do góry
I gdy przez piargów idę kobierce,
Myśl mi radosna rozpiera serce,
Żem już wszedł w tajne komnaty skalne...
Jakżeż tu cudnie! Doliny halne
Gdzieś seledynem w dali się kładą...
Nad Niżnych Tatrów osłoną bladą
Z światła się wieniec nad lasy ściele...
Już mam do szczytu wspinań niewiele,
Wreszcie przez przez łańcuch — gdzieś pod obło-
[kiem
W Łomnicy czole staję wysokiem...
— — — — — — — — — —
Tatrów królowo, cudna Łomnico!
Ze czcią całuję twe skalne lico,
Co wieki patrzy w lechickie plemię — —
A choć najeźdźca wszedł w jego ziemie,
Choć je brutalnem deptał kopytem —
Tyś nas wolności krzepiła świtem.
Błysnął nam wreszcie cudu dzień nowy —
Zczeźli najeźdźcy — pękły okowy...
Twą skalną głowę cisnę w ramiona —
Królowo Tatrów, bądź pozdrowiona!
Z modlitwą w szczycie zginam kolana,
Że w dali Polska słońcem zalana,
Już wolnym orłem ku morzu świeci
I w Tatry wolne chodzą jej dzieci!...
Stary Smokowiec, 1934.

Dr. JAKÓB SCHALL. Lwów.

Pułkownik Berek Josielowicz.

125-lecie bohaterskiego zgonu.

A działo się to w jednem z najsłynniejszych lat dziejów wojskowości polskiej, bo w pamiętnym roku 1794. Do naczelnika Tadeusza Kościuszki zgłosił się młody Żyd imieniem Berek, syn Josla i stąd nazywano go Berkiem Josielewiczem, lub Josiolewiczem. Berek Josielewicz przedstawił Naczelnikowi swój zamiar służenia Polsce, gdy Rzeczypospolita znalazła się w tak naglącej potrzebie i został przyjęty łaskawie. Płk. Josielewicz urodził się w r. 1765 na Litwie w miejscowości Kretyndze i został w młodym wieku faktorem biskupa Massalskiego. Z biskupem, dla którego zakupywał i ujeżdżał konie, wyjechał Berek zagranicę i poznał tam kilka języków obcych, jakoteż zachodnie obyczaje. Po powrocie do kraju, zaskoczyło go powstanie Kościuszkowskie i wtedy właśnie zwrócił się do Naczelnika z prośbą o zezwolenie formowania pułku lekkiej jazdy. Kościuszko zgodził się na ten projekt i ogłosił w „Gazecie Rządowej" z dnia 17 września 1794: „Uwiadomienie o formującym się pułku starozakonnych". Treść tego uwiadomienia była niezwykle ciekawa ze względu na stosunek Kościuszki do kwestji żydowskiej i brzmiała następująco[1]): „Naród żydowski po całym świecie rozprószony, do czasu ustąpienia z ojczystej ziemi, nie chciał należeć do tych krwawych scen, które okrutni despoci na teatrze ziemi wyrządzali. Inaczej myśląc od tych, co dla dumy i rozpusty tyranów mając sobie za honor życie swoje łożyć, własnej szukał spokojności, wzgardzony więc i niemal z rzędu ludzi wyjęty, poczytany został za niezdatny do obrony praw i własności, tylko dla korzyści samodzierżców trzymany. Lecz kto tylko zważy, że to naród z ludzi podobnych nam złożony, inaczej pewnie o nim sądzić zacznie, a wiadomość o walecznych czynach jego przodków pochlebną na stronę jego czynić nam będzie nadzieję". Ponadto wspomina Tadeusz Kościuszko o odwadze, którą okazali Żydzi w dniach 17 i 18 kwietnia (1794 r.) w Warszawie i kończy swą odezwę słowami: „Żydzi rzucili się w Warszawie do oręża, zwarli się mężnie z wrogiem i dowiedli światu, iż tam, gdzie ludzkość zyskać może, życie swe ochraniać nie umieją". Uwzględniając wszystkie cnoty narodu izraelickiego, zezwala Tadeusz Kościuszko Berkowi Josielewiczowi i jego towarzyszowi Józefowi Aronowiczowi na formowanie pułku i zaopatrzenie go w niezbędne rekwizyty. W ślad za odezwą Kościuszki ukazała się odezwa[2]) Berka Josielewicza z dnia 1 października 1794, wzy-

[1]) J. Szacki: Kościuszko a Żydzi. Warszawa 1917.
[2]) E. Łuniński: Berek Josielewicz. Lwów 1908.

wająca Żydów do walki o wolność Polski. Odezwę tę pomieściła urzędowa „Gazeta Warszawska“. Treść tej odezwy brzmi: „Słuchajcie dzieci plemienia Izraelitów! Kto ma Boga Wszechmogącego w sercu i chce Ojczyźnie dopomóc, a powinien to uczynić każdy, ten ma sposobność to uczynić teraz. Kto chce uzyskać wolność i kto chce na tę wolność zasłużyć, ten niech walczy za Ojczyznę, póki kroplę krwi ma w sobie“. Odezwa kończy się słowami: „Obudźcie się, jako lwy i lamparty“. Czy pułk mający liczyć 500 ludzi został w tak krótkim czasie, jakim był okres od 1 października do 4-go listopada uformowany i czy brał jako taki udział w obronie Warszawy, tego nie wiemy. Faktem jest, że Żydzi warszawscy, a wśród nich Berek Josielewicz, walczyli na okopach Pragi, o czem donoszą pisma obce i polskie. I tak donosi w 36 lat później o tym wypadku deputowany Izby francuskiej Salverte: „Po upadku powstania Kościuszki, patrjoci polscy robili ostatnie wysiłki w Warszawie. Przedmieście Praga, osłonione przez starozakonny regiment, zdobyto szturmem. Wszystko zginęło pod ciosem miecza. Nazajutrz znaleziono cały pułk w śnie wiecznym. Ani jeden żołnierz nie zbiegł przed apelem śmierci“[3]). Z życiem uszedł wtedy Berek Josielewicz, który wyjechał z generałem Zajączkiem do Włoch. Tam zaciągnął się Berek (w r. 1797), jako zwykły żołnierz do legji Wielohorskiego, który wspólnie z Dąbrowskim tworzył podówczas legjony. Gdy legjony zdobyły Gdetę na Neapolitańczykach, dostały się w ręce zwycięzców wielkie stada koni. Dało to impuls Dąbrowskiemu do utworzenia kawalerji legjonowej. Dowódcami tych pułków zostali: Eljasz Tremo, Biernacki i Berek Josielewicz. Josielewicz uzyskuje wtedy stopień szefa szwadronu i odbywa w tej randze dwie kampanje włoskie. Gdy później uformował gen. Kniaziewicz legjon naddunajski, zgłosił się do niego Berek Josielewicz i został przyjęty w stopniu kapitana. Josielewicz wziął wtedy udział w zwycięskich bitwach pod Hohenlinden i Frydlandem (1807) i odznaczył się kilkakrotnie [4]). Za atak prowadzony przez oddział Josielewicza, atak szwadronu kawalerji na armaty, został Josielewicz pułkownikiem 5 pułku ułanów i komenderował na tem stanowisku młodzieńcami pochodzącymi z arystokratycznych domów polskich. Jednocześnie otrzymał Berek order Virtuti militari. Przy boku Berka walczył wtedy jego 17-letni syn Józef, który został wtedy podoficerem 13 pułku Krakusów. Zwycięstwa pod Hohenlinden, Frydlandem i Iłową, do których w skromnej mierze przyczynił się oręż Josielewicza, utorowały Polsce drogę do uzyskania niepodległości. Owocem tych bojów był pokój tylżycki (w r. 1807), powstanie Księstwa Warszawskiego. Minister nowopowstałego księstwa ks. Józef Poniatowski obdarza Josielewicza stopniem pułkownika kawalerji narodowej i porucza mu kształcenie młodych żołnierzy i oficerów. Księstwo warszawskie, będące daleko na wschód wysuniętą awangardą Francji i wojsk napoleońskich, nie cieszy się długim pokojem. Już w dwa lata pokoju tylżyckim, gdyż w roku 1809 przychodzi do wojny z Austrją. W wojnie tej bierze udział i pułkownik Berek Josielewicz, który toruje na czele dwóch szwadronów jazdy armji polskiej drogę do granicy galicyjskiej. W czasie tych walk przyszło do potyczki pod Kockiem. Pułkownik Josielewicz wysunął się wtedy zbyt daleko poza front swej armji i został zagnany aż poza t. zw. „szlaban“ rogatki miejskiej. W tem miejscu odcięli huzarzy wę-

---

ALEKSY RŻEWSKI. Łódź, grudzień 1934.

Nowe zadania samorządu.

Po wprowadzeniu nowej ustawy samorządowej rozlegają się tu i ówdzie głosy, że następuje likwidacja całkowita: „demokracji w samorządzie“. Jest błędem dopatrywanie się w wybieralności najważniejszej cechy demokracji samorządowej. Ze stanowiska praktyki życiowej jest zawsze ważniejsze: nie kto, ale co i jak robi. Wartość zasady wybieralności jest względna, jak każdej innej: *wybieralność jest dobra, gdy osiąga wyniki dodatnie, jest zła, gdy jej skutki są ujemne.* Nie sama doktryna, ale jej skuteczność jest tu najlepszym sprawdzianem. O istocie samorządu decyduje nie wybieralność, lecz terytorjalność, to jest specjalność usług publicznych, wykorzystana — przez terytorjalne organy samorządu, sama treść atrybucyj udzielonych gminom przez państwo. Samorząd spełnia wtedy tylko swoje właściwe zadanie, gdy urzeczywistnione są w gospodarce komunalnej dwa warunki: *fachowość i ciągłość pracy.* Sprawa wielkiej doniosłości społecznej, a mianowicie skuteczny i odpowiedni wpływ wychowawczy na ogół obywateli, stanie się potężną siłą, gdy samorząd dobrze pod względem fachowym zmontowany, sprawnie funkcjonujący, załatwiać będzie szybko i sprawnie, bez uciążliwych formalności biurokratycznych, sprawy bieżące ku zadowoleniu ludności, służąc w każdej chwili przykładem porządku, pracowitości i sumienności obywatelskiej; gdy ludność naocznie, bezpośrednio, zacznie stwierdzać doroczny dorobek własnej gminy w postaci ulepszeń, udogodnień nowych instytucyj użyteczności publicznej. Uczestnictwo ludności w tych świadczeniach publicznych ze strony zarządu miasta będzie dla obywateli najlepszą praktyczną lekcją o zadaniach samorządu. Jednem z ważnych zagadnień samorządowych jest również kwestja regjonalizmu. Sama nazwa pochodzi od słowa łacińskiego „regio“-prowincja, kraina. Centralizacja wszystkich poczynań społecznych, gospodarczych i oświatowych w Warszawie jest objawem szkodliwym i nieżądanym. Życie narodu nie zamyka się tylko w stolicy, lecz rozwija się i kształtuje w poszczególnych

gierscy Josielewicza od reszty jego żołnierzy. Otoczony ze wszech stron przez huzarów, sprzedał pułkownik drogo swe życie, raniąc kilku wrogów. Wreszcie sam kilkakrotnie ranny, zginął od cięcia szabli huzara Stefana Totha, który za ten czyn dostał medal od cesarza austrjackiego.[5]) Gdy Berek zginął śmiercią bohaterską, wtedy zebrał wdzięczny lud polski szczątki bohatera i usypał mu kopiec, utrwalając pamięć Żyda - pułkownika w piosence, zaczynającej się od słów: „W tym wypadku huncwockim, zginął Berek pod Kockiem". „Gazeta Warszawska" poświęciła Berkowi kilka ciepłych słów uznania, a ks. Józef Poniatowski złożył raport Napoleonowi o śmierci swego szefa szwadronu. Także i „Towarzystwo Przyjaciół Nauk" uczciło pamięć Berka przez usta swego przewodniczęcego hr. Stanisława Potockiego, który ze szczerem uznaniem podniósł bohaterstwo i poświęcenie się Żyda za sprawę polską.

[3]) Schall J.: Historja Żydów w Polsce na Litwie i Rusi. Lwów 1934.
[4]) Kand J.: Żydzi w wojsku polskiem. Tyg. Ilust. Warszawa 1917.
[5]) M. Bałaban: Berek Josielewicz („Nasz Przegląd", 1932, Warszawa).

Wystawa metodyczna w przedszkolu
Państwowego Seminarjum Ochroniarskiego im. Jachowicza we Lwowie.
(Sprawozdanie własne „Straży Polskiej").

Z końcem roku szkolnego 1933/34 została urządzona w przedszkolu przy Państwowem Seminarjum Ochroniarskiem im. Jachowicza we Lwowie wystawa pomocy naukowych, zorganizowana wzorowo przez kierowniczkę tegoż przedszkola p. Natalję Cicimirską. Wystawa obejmowała szereg działów: 1) Dział Wychowania Państwowego w Przedszkolu, 2) Dział psychologiczno - metodyczny, 3) Dział rysunków i robót ręcznych.

I. Dział Wychowania Państwowego obejmował zestawienie środków naukowych, ilustracyj do pogawędek z życia państwowego, liczne stroje w wykonaniu uczenic, jak czapeczki legjonistów, marynarzy, ułanów, kostjumy, przedstawiające kwiaty motyle, które mają na celu uzmysłowienie, w jaki sposób przedszkole budzi i rozwija uczucia państwo-



Zdjęcie z wystawy.
P. Dyr. Cicimirska w otoczeniu uczenic.

regjonach prowincjonalnych. Samorządy nasze w propagowaniu idei regjonalistycznej tak ogólnej, jak i szczegółowej, winne odegrać przodowniczą rolę. Należy utorować drogę pojęciom, że samorząd jest tylko swoistą formą administracji państwowej, dostosowanej do potrzeb demokratycznego ustroju, która ma za zadanie koordynowanie lokalnych potrzeb z ogólną linją społeczno-polityczną w poszczególnych dziedzinach życia wewnętrznego państwa. Obywatel każdej gminy musi w życiu codziennem, praktycznem, czuć się obywatelem państwa i traktować najbliższe zadania, realizowane na terenie samorządu gminnego, powiatowego, czy miejskiego, jako ogniska pracy państwowej. Gdy zrozumienie to pogłębi się i rozpowszechni, otworzy się droga szeroka do wydobywania i akcentowania lokalnych właściwości indywidualnych cech naturalnych regjonów, których bogactwo złoży się w sumie na harmonijny akord kultury narodowej, opartej o trwały fundament organizacji państwowej. Regjonalizm został wydobyty z głębokiego ujęcia istotnej struktury państwa i narodu, z przemyślenia drogi, którą narastał nasz dorobek kulturalny, ze zrozumienia psychologji wielkich gromad ludzkich, bytujących w odrębnych warunkach przyrodzonych, a jednak silnie związanych w poczuciu odrębności od innych narodów i państw. Polski samorząd terytorjalny musi dla regjonalizm wywalczyć sobie prawo obywatelstwa. wydobyć z niego wartość i bogactwa społeczne dla dobra całości Rzeczypospolitej, uzupełnić działalność dobrze pojętego samorządu. Wobec wzrastających potrzeb społecznych, niemożności opanowania wszystkich dziedzin życia zapomocą administracyjnego aparatu państwowego, samorządy lokalne stały się najważniejszą formą ruchu regionalnego Rzeczypospolitej.

Dowodem potrzeby istnienia i rosnącej popularności „STRAŻY POLSKIEJ" jest nawał materjału aktualnego, nadesłanego z pocz. grudnia b. r. do redakcji z całej Polski. Na tem miejscu naszym Korespondentom i Autorom dziękujemy!



Dział wystawy:
Roboty i zajęcia praktyczne,



Fragment z wystawy:
Rysunki i modelowania.

we, uspołecznia i uświadamia dziatwę w tym kierunku.

II. Dział psychologiczno-metodyczny obejmował: a) ugrupowanie środków naukowych systemu Froebla, Montessori, Decroly'go, Maison des Petits. Wyszczególniono: środki do kształcenia zmysłów, do badania ich bystrości (zmysł wzroku dotyku, stereognostyczny, baryczny, termiczny, smaku, węch), środki do kształcenia spostrzegawczości, uwagi, pamięci, wyobraźni, myślenia, mowy. b) Środki ilustrujące tryb życia przedszkola: tablice do notowania pogody przez dzieci, tablice dyżurów o znakach symbolicznych dla każdego dziecka, oznaczające czynności dzieci, jak porządkowanie, podlewanie kwiatów, opieka nad zabawkami. c) Plany zajęć w przedszkolu, ogólne, szczegółowe tygodniowe, wzory prowadzenia ksiąg, dzienników, kronik, obserwacyj nad dziećmi, tabel pedologicznych, wykresów, monografij, d) środki zdobnictwa przedszkola, fryzy w dostosowaniu do pór roku.

III. Dział rysunków i robót, zorganizowany pod wzorowem artystycznem kierownictwem nauczycielki tych przedmiotów p. Janiny Pomiankowskiej, w wykonaniu jej uczenic obejmował: a) dział pomocy naukowych: ilustracje do powiastek, pogadanek i bajek, zawartych w podręczniku Cicimirskiej p. t. Moja Ochronka, do utworów Rogoszówny, Or-Ota, Konopnickiej, zestawione według typów opowiadań i pogadanek. Obok ilustracyj wykonano z gliny charakterystyczne postacie, występujące w utworach literatury dziecięcej: zwierzęta, oraz rozmaite przedmioty do pogadanek. Dla utrwalenia w pamięci dziatwy uroczystości, urządzonych przez nią z udziałem Hufca P. W. w dniach 11 listopada oraz 19 marca, uczenice przedstawiły rysunkiem niektóre momenty tych uroczystych obchodów. Dział tych pomocy uzupełniały ilustracje, wykonane na tablicy, jako powiększenia małych szkiców. Zaliczyć tu należy również loteryjki, gry, oraz kompozycje zdobnicze, które mogą

Prof. Dr. HENRYK BIEGELEISEN.

Psychologja baśni.

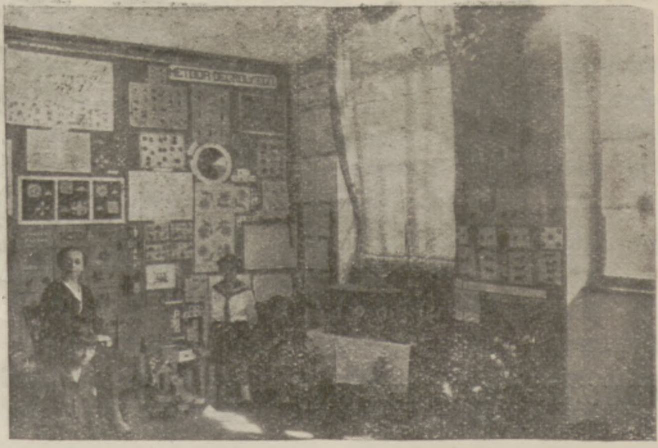
(Ciąg dalszy).

Tłumaczą to wielką wrażliwością i intensywnym aktywizmem uczuć w fantazji ludu, który te postacie bajkowe stworzył i w nich się sam przedstawia. Przeżywamy więc w poszczególnych baśniach silne wrażenia i namiętności: trwogę, oburzenie, grozę, zachwyt, radość, odwagę, podziw, troskę, skruchę, wstydliwość, smutek, rozpacz, złość. Ogniwa tego łańcucha uczuć skupiają pstą mozaikę obrazów baśni owych w całość. Dziatwa przysłuchująca się z naprężeniem opowiadania bajek, doznaje silnych wrażeń — przeżywa głębię cierpienia, nieszczęścia, a mimo to chętnie słucha tych opowowieści, a nawet prosi o ich powtórzenie. Byleby miały zadowalające zakończenie, sprawiedliwy rozdział kary i nagrody. Powieści tragiczne mieni dziecko pięknemi, jeżeli kończą się wesoło. Dziatwa ma współczucie z tragicznym losem bohatera, byle wyszedł wkońcu zwycięsko. Bohater nie może śmiercią uwieńczyć zwycięstwa idei, tego dziecko nie pojmuje.

Motorami czynów bohaterów baśniowych są zawsze uczucia. Przedewszystkiem uczucia zmysłowe są pobudkami ich aktów woli. Dążenie do wyzbycia się uczuć przyjemnych a usuwania uczuć nieprzyjemnych sprowadza w baśniach pożądania i namiętności, jak zazdrość, rozrzutność, skąpstwo, chciwość, próżniactwo, chęć używania i t. p. Przeważają naturalnie popędy zmysłowe, prawie zupełnie brakują umysłowe aspiracje. Tłomaczą to czasem powstaniem wielu baśni ludowych w dobie kultury pierwotnej. W opra-



Fragmenty z wystawy:
Metoda Froebla i Montessori.



Dział: Metoda Decroly'ego,
„Maison des Petits“.

mieć zastosowanie w przystrojeniu ścian w przedszkolach. Szopki, choinki przybrane ozdobami, ozdoby na choinkę, oraz stoły zastawione święconem. b) O zastąpieniu zabawek kupnych zabawkami własnego wyrobu mówiły z działu zabawek wykonane pokoiki, w których ustawiono mebelki, lalki, dalej miasto, sklep, kolej, drzewa, samoloty, naczynia ozdobione ornamentem ludowym, do gier piłki z rafji. c) Z garderoby dziecięcej wykonano: z włóczki: sukienki, kamizelki, czapeczki, trzewiki. Z filcu: pantofelki, oraz barwne stroje, przedstawiające kwiaty, czapki dla żołnierzyków, głowy zwierząt, mające zastosowanie przy urządzaniu przedstawień. Pewien fragment wystawy stanowiły p r a c e d z i e c i, dające obraz przeżyć dziecka w domu, przedszkolu, na ulicy, na podwórku, w ogrodzie. Materjałem, którym dziecko wypowiadało swoje myśli, uczucia, zainteresowania była glina, rysunek oraz zabawki, dowolnie i samodzielnie wykonywane przez dzieci. Szereg rysunków i prac jednego dziecka odpowienio ugrupowany dał obraz jego rozwoju indywidualnego, stopniowego. Cel wystawy: wykazanie samodzielnej twórczej inicjatywy, nieopartej na przeszczepianiu na grunt tutejszy obcych wzorów, lecz przystosowanie pracy do potrzeb psychiki dziecka, został osiągnięty. Uczenice, mające przed oczyma całokształt pracy swojej, zgrupowanej metodycznie, teraz dopiero ocenić mogły jej celowość i doniosłość. Wystawa wzbudziła ogólne zainteresowanie, zwiedziły ją Władze Szkolne, wychowawczynie Ognisk, utrzymywanych przez Miejski Komitet Opieki Pozaszkolnej we Lwowie z Przewodniczącą tegoż Komitetu, wychowawczynie wszystkich lwowskich przedszkoli, uczenice seminarjów nauczycielskich lwowskich i pozalwowskich, oraz rodzice uczenic Seminarjum i dziatwy z przedszkola.

X.

---

cowaniu literackiem u nas, n. p. w Bajarzu polskim Glińskiego, w niemieckich bajkach braci Grimmów, w duńskich Andersena usunięto starannie rzeczy niemoralne, złagodzono seksualne. Pierwotnie jednak donośnie szumiał wezbrany strumień namiętności erotycznych, gdzie dziś słychać tylko słabe jakby stłumione ich oddźwięki. Baśń, na równi z dzieckiem, nie zna pojęcia względności. Dlatego akty woli w baśni są absolutne, bezwarunkowe, dlatego fantazja bajkowa nie zna granic niemożliwości. Panują tu na przemian zgodnie: dobro i zło, dal i blizkość, rzeczywistość i imaginacja, sprawy niebieskie i ziemskie.

Materjał, z którego zbudowana jest architektonika baśni, jest żywy, giętki, niemal płynny. A to dlatego, że nie opiera się zmianom, jakim ulega opowiadanie, przechodząc z ust do ust. Kompozycja baśni wykazuje przerost motywów pod względem ilościowym, krzyżowanie się ich i kruszenie, oraz t. zw. technikę łańcuchową. Biegunowo przeciwne tym prawom epicznym są stałe prawidłowości psychologiczne, które sprawiają, że ta pstra mozaika wydarzeń baśniowych układa się w regularne, wielopłaszczyznowe ciała, których budowa, kształt i własność przypominają poliformizm w krystalografji. Potrójne, równowartościowe szeregi motywów w baśniach, na tym trójdzielnym schemacie zbudowane baśni, przypominają analogiczne systemy kryształowe. Posługiwanie się temi prawidłowemi formułami w architektonice baśniowej tłómaczą etnologowie pierwotnością kultury twórców baśni, których fantazja wypowiedzieć się może jedynie w typowym schemacie, przez co napięcie i rozwiązanie szybko się rozwijają.

(Ciąg dalszy nastąpi).



TADEUSZ EMANUEL WROBLEWSKI. Lwów.

Fragmenty walk lwowskich.

Listopad 1918.

Wspomnienia osobiste.

(Dokończenie).

O sytuacji na Dworcu dowiaduję się tylko tyle, że siedzą tam Ukraińcy. Podobno kompanja piechoty, i cztery maszynowe karabiny... Mówią ponadto, że najbliższą z naszych placówek jest szkoła Konarskiego.

„Wojenny Komitet" — obradujący gdzieś tam w zacisznem, spokojnem mieszkaniu — wydaje mi się teraz, na tle stwierdzonej tu sytuacji — czemś bardzo odległem, nieistotnem, wprost zbędnem, czemś — prawie śmiesznem... Niechże zdrowo sobie czekają, myślę, a Dworcem -- to już my tu sami jakoś się zaopiekujemy...

Jestem w szkole. Tu, w parterowym przedsionku odbywa się przyjmowanie ochotnika. Widzę kilkunastu różnego autoramentu i wieku ludzi. Jest trochę karabinów. W kącie — beczka piwa, kosze z chlebem i wędliną. Jest zatem i prowiantura. „Funguje" gościnnie i sprawnie.

Ktoś z obecnych projektuje rozzbrojenie oddziału wojsk austrjackich, jaki jeszcze do tej chwili kwateruje w budynku filji IV-go gimnazjum przy ulicy Chocimskiej. Popieram tę inicjatywę i w kilku udajemy się na miejsce. Choć odległość nie przenosi paruset metrów, jedziemy na miejsce — dwukonną „karetą", która akurat, jak na zamówienie, i nic nie robiąc sobie z „wojny", nadjeżdża ulicą Sapiehy od strony miasta...

Wstępujemy w gimnazjalny budynek. Przelotne teraz nasuwa mi się wspomnienie: w tych przecie murach trzy lata „kułem" łacinę...

Żołnierze, o ile pamiętam — austrjaccy Niemcy, oddają broń bez protestu, pomagają nawet znosić ją z pięter na ulicę. Stoi tu już jakaś, zawczasu widać przez kogoś przygotowana fura, na nią więc składamy karabiny i ręczne granaty, co wkrótce wypełnia ją prawie po brzegi.

Towarzyszom swym proponuję odstawienie broni do „Sienkiewicza", na co chętnie przystają. — I oto kawalkada nasza jest już w drodze, w kilkanaście zaś minut później dobija do szkoły.

Powyższy projekt zrodził się we mnie z dwu, tym razem ściśle osobistych pobudek. Mianowicie liczyłem na to przedewszystkiem, że tylko właśnie w szkole Sienkiewicza natknę się na mych starych legjonowych przyjaciół, czy też na tego, lub owego z towarzyszy lat dziecinnych; (w tej bowiem szkole odbierałem początkowe czteroletnie nauki). Następnie — „przyjemnie" mi było przywieźć wraz z sobą „na początek" tak ładny i pożądany „posag".

* * *

Przypuszczenia okazały się trafne, a przybycie nasze nastąpiło w samą porę. Bo oto w parterowym korytarzu szkolnym zastaję właśnie ustawiony pod ścianą długi uzbrojony dwuszereg. Ludzi około trzydziestu. Parę głosów przywołuje mię po imieniu: to Gąsiorek, Szyling i inni. Za chwilę — odmarsz na Dworzec...

Naturalnie, ucieszony nadto niezmiernie z odszukania przyjaciół, wstępuję do szeregu. Uzbroiłem się jeszcze na Chocimskiej w krótki karabin i parę granatów. „Patrony" w kieszeniach palta.

Jest może ósma, dziewiąta, może dziesiąta wieczór. Idziemy. Prowadzi porucznik Zygmuntowicz.

Pod szkołą Konarskiego parominutowy postój. Zygmuntowicz coś z kimś mówi, poczem idziemy dalej.

Jak wiadomo, boczne, prostopadle do Dworca biegnące tory, dochodzą wzdłuż kolejowych warsztatów aż na samo prawie „kopytkowe". Całość — tory i budynki — otoczona drewnianym (wówczas) parkanem.

Przez otwór z wyjętych desek przedostajemy się na ogrodzony teren. Drogę wskazuje teraz jakiś

dobrze orjentujący się tu w ciemnościach kolejarz. W trakcie naszego posuwania się, dowódca dzieli pluton na dwie sekcje, nakazuje ciszę i milczenie. Dobrze zresztą wiemy, że o powodzeniu akcji zadecyduje chyba — zaskoczenie, — o ile n. b. przeciwnik na nie pozwoli... Bo przecież mogą tu być jego placówki, patrole...

Jednak w miarę zbliżania się do celu ogarnia nas lekkie, bardzo lekkie zdziwienie: Ukraińców — ani śladu... Ale nie łudźmy się! Zapewne przyczajeni na Dworcu, przyjmą nas „gościnnie" i „gorąco"... A karabiny maszynowe — to chyba nie żarty... My przeciwstawić możemy im tylko zwyczajne...

Oto jesteśmy już na torach głównych. Peron — kilkadziesiąt kroków przed nami... Wokół złowroga zalega cisza... Tylko chwilami, skądś, z oddali, dochodzą krótkie, jakby suche trzaski płonących gdzieś tam wagonów.. I lekka oświetla nas od nich łuna... Tem groźniej czernieją teraz dwa olbrzymie, tajemnicze otwory peronowej hali...

Rozsuwamy wpoprzek torów kilkurzędne tyraljery. — Ja — obaj wspomniani przyjaciele i jeszcze ze dwu, trzech innych — wysuwamy się na czoło.

W niepokojącej ze strony Dworca ciszy, w najwyższem napięciu nerwów, pochyleni, z karabinami gotowemi do strzału, postępujemy powoli naprzód... Oczekujemy — sekunda na sekundę — maszynowej salwy wroga... Wybiją do nogi... Osłony nigdzie — żadnej... Odwrót — byłby zadaleki, — po bokach — przepaść drugiego piętra...

Lecz — oto — i sam peron... Niezmącona niczem cisza... Nie dowierzamy, ale już i schody w dół prowadzące, a zatem — głęboki oddech ulgi — Ukraińcy Dworzec opuścili...

Kiedy, jak i dlaczego — zagadka to dla mnie, a myślę, że i dla wielu po dzień dzisiejszy do rozwiązania...

Krążyły potem wersje, że czynnikiem tu decydującym i naszym — w tym jedynym chyba wypadku — sprzymierzeńcem, był alkohol, jaki w dużych ilościach zastoli Ukraińcy w licznych na Dworcu towarowym wagonach. Niestety, i my zastaliśmy go także..

— — — — — — — — — — — —

Schodzimy w dół gmachu. Tunel — westybul — jakby wymarłe... Słychać tylko nasze, pewne już siebie kroki.

Skręcamy w prawo, do poczekalni II-giej klasy. Widok — nieoczekiwany! Pokotem, na ziemi, na stołach, jakieś skulone, milczące, na wszystko obojętne tłumy... Rzecz zaraz się wyjaśnia: to masy „heimkehrerów" t. j. żołnierzy, powracających z wojny do domu. A raczej — usiłujących to uczynić. Bo oto nowa zaskoczyła ich tu wojna. Pociągi od wczoraj nie idą, a zatem, zapewne oczekują, że ta czy inna władza — prędzej czy później — zajmie się ich dalszą ekspedycją..

Ruszamy dalej. W przedsionku obok głównej bramy dowódca nasz czyni uwagę, że należałoby wysłać o wzięciu Dworca meldunek. Po chwili widzę go w błyskach świecy, pochylonego nad kartką papieru. Stołem jest jakaś skrzynia.

Panowie z „Komitetu" zapewne bardzoby się ucieszyli..

— — — — — — — — — — — —

Rozpoczynamy teraz gospodarstwo „prawych właścicieli". A więc przedewszystkiem — dokładne spenetrowanie wszelkich ubikacyj i zakamarków. Poza poczekalnią spokojnych, sytuacją wystraszonych „heimkehrerów — cisza, ciemność, ani „żywej duszy"...

Dowódca rozsyła patrole. Pozostaje na Dworcu. Wyznacza nam na kwaterę westybul t. zw. „cesarskich apartamentów". Lokujemy się, jak możemy. Na dworze spokój, nie słychać żadnych strzałów.

Powoli wracają ci i owi z patroli. Sytuacyjne wiadomości zewsząd dobre; a już co do zawartości niezliczonych — w pobliżu Dworca — towarowych wagonów — poniekąd... rozczulające. Nietylko mnóstwo wszelakiej żywności, ale i tytoń, a nawet — „sam" koniak... Zresztą na dowód — „koleżeńskie prezenty": pełne flaszczyny złotawego płynu... I mnie dostaje się z nich jedna, zaczem nastrój wkrótce powszechnie „górny" jest i „zwycięski"...

— — — — — — — — — — — —

Trzeciego listopada aż do późnego wieczora panował u nas wszędzie względny spokój.

Załoga, znacznie już w dniu tym zwiększona przebywała bądźto w samym budynku, bądź też na zewnętrznych placówkach i patrolach.

Peron — w zupełnych prawie pogrążony ciemnościach. Słabe tylko dochodzą blaski od świateł gdzieś w „urzędzie ruchu", jak również i w przejściu do naszej kwatery.

Alkohol na mnie teraz już nie działa. Możliwość ukraińskiego ataku, zaostrzona zatem czujność nerwów (neurastenia!), są naturalną tego stanu przyczyną.

Ktoś przywołuje Zygmuntowicza do telefonu: to „Podzamcze" konspiracyjnie alarmuje, że Ukraińcy gotują tam właśnie wyprawę pancernego pociągu — najwidoczniej w zamiarze odbicia Dworca Głównego.

Zygmuntowicz w kłopocie: należy natychmiast przeciwdziałać, a tu i ludzi pod ręką niewielu, i większość „zawiana"...

Widzę to i słyszę. Chcę w miarę możności pomóc. Melduję, iż czując się osobiście na siłach, zbiorę kilkunastu zdolnych jeszcze do broni, i poprowadzę, gdzie wskaże. Zgadza się — cóż zresztą ma

robić! I w kilka minut zbiera się oddziałek z piętnastu może ludzi. Zygmuntowicz daje nam jeszcze paru kolejarzy. Zadanie ogólne — wyjąć — w pewnej od Dworca odległości — z głównego toru szynę.

Wyruszamy. Po drodze przyłącza się do nas dwoje „zasmarkanych“ jakichś cywilów. Jakiś „pan“ i jakaś „pani“*). Idą, by z rozkazu dowódcy objąć gdzieś w tej stronie placówkę. — Niechcąc narażać kobiety, umieszczam oboje w pół drogi między naszą grupą a Dworcem, jako łączników.

Początkowo towarzyszy nam od Dworca pewien, nieznanego mi nazwiska oficer. W pobliżu pierwszego ponad torami żelaznego mostu, życząc powodzenia, odchodzi.

Jeszcze sto, dwieście za mostem kroków i przystępujemy do pracy. Przydzieleni kolejarze wziętemi ze sobą narzędziami odkręcają właściwe szyny. — Rozstawiam ludzi w „zasadzkę“: coś po trzech na szkarpie lewym i prawym, ze dwu na wspomnianym moście. Reszta wraz zemną pomaga i asystuje w robocie. — Legjonista Głowacki idzie jako patrol w kierunku na Podzamcze. We dwadzieścia może minut wraca, wiodąc wraz z sobą jeńca: jest to starszy wiekiem, jakiś dawny „landszturmista“. Odprowadza go na Dworzec, my zaś śpiesznie kończymy robotę.

Wracamy. Tylko tam na szkarpach, w słabej łunie pożarów — oczekuje wroga nieliczna, ale pewna siebie obsada.

Już dochodzimy...

Nagle — — gwałtowne, karabinowe salwy — przeciągłe brzęki strzaskanego szkła... rozumiemy... to atak na przeciwną stronę Dworca...

Naprzód! — Biegiem!,.. Wpadamy co sił w czarną otchłań peronowej hali...

*) Po latach, dowiaduję się, co za jedni: to ś. p. Artur Schröder i Janina Walicka, redaktorzy „Pobudki“.

Salw teraz już niema: jeden ciągły huk strzałów — wybuchy granatów... piekło... chaos... a najtragiczniejsze — to ciemność...

Już oto jestem u południowej krawędzi. Klękam za żelazny, z brzegu pierwszy filar. Przed siebie — na oślep — oddaję kilka strzałów. Ktoś, od tyłu, krzyczy — że tam, na torach — idzie ku Dworcowi — nowa partja „heimkehrerów“, i — że Ukraińcy fakt ten wyzyskują dla podjęcia na nas ataku!..

Mam dosyć. W ludzi niewinnych — strzelać nie będę. Dołącza się świadomość, że i nasze placówki — atakiem zaskoczone — gdzieś tam na przedzie, przed nami być muszą... Sytuacja podwójnie tragiczna! W takich warunkach — i w ten sposób — Dworca bronić nie mogę...

O kilkaście kroków mam za sobą wejście w „cesarskie apartamenty“. Wpadam. Widzę, że tu są już ranni... Pracują też sanitarjusze.

Przechodzę do ubikacji następnej. Tu — rannych całe mnóstwo... Wśród nich także Ukraińcy. Ale chłopy młode i tęgie: to już nie starzy „landszturmiści“, w rodzaju wziętego przed chwilą do niewoli... To „siczowi strzelcy“, żołnierz dzielny i groźny...

Oceniam sytuację, przynajmniej własną, jako w tej chwili prawie beznadziejną. Postanawiam wykorzystać okoliczność dostania się między rannych. Lokuję się w jakimś kącie. Po pewnym czasie wyczerpany, zasypiam. Jest mi narazie „wszystko jedno“...

— — — — — — — — — — — —

Rano — dzień pogodny, słoneczny.

Stwierdzam z radością, że Dworzec — w polskich rękach...

Ale przecież jeszcze w nocy, wychyliwszy się nieco z mego kąta, stwierdziłem naocznie fakt wdarcia się Ukraińców na peron, jak i chwilowego zawieszenia broni!.. N. b. nie mając lepszego wyjścia,

---

PIOTR ŻMUDA. Kraków.

Zbójnicki taniec.

Smolnej watry krwawy blask
Rzuca iskier ostry trzask...
Pod Hrubego bije mur,
Ze snu budzi Hliński bór...
A przy watrze śpiewy, gwar,
W taniec sunie dziesięć par.
Wina płynie złoty zdrój,
Ze zbójnikiem tańczy zbój...
W pierwszej parze zbójców pan
Z Czarną Wiktą wiedzie tan.
Rzutnych ciupag słychać szczęk,
Z Wikty furczy wicher wstęg.

Niby wiatru halny dmuch,
Śmiga w skrzydła białych cuch,
Posuwistych kierpców plask
Piarg rozszczepia w tuman drzazg!
To raz naprzód, to znów w bok,
To raz przysiad, to znów skok!...
Raz po razu huka strzał,
Coraz dzikszy tańca szał...
A wtem starszy krzyknie zbój:
„Wiara na hok — każdy stój!...“
Stoją chłopcy wokół w wian,
Z Wiktą tańczy ich wódz, pan.
Wikta drobi, za nią w krok,
Zbójnik sunie, wsparty w bok.
Coraz prędzej, prawie w mig —
Z Wiktą zbójnik w ogniu znikł — —

i pozbawiony ze swoimi — w dole Dworca — kontaktu, w tej niewyjaśnionej sytuacji zasnąłem, przespawszy widocznie i odsiecz i odbicie Dworca spowrotem...

Rozmyślania moje idą teraz w innym kierunku: jeżeli Dworzec, po tak dotkliwej nauce raz jeszcze powrócił w nasze ręce, to i w nich pozostanie. Zapewne stanie się odtąd prawdziwem „okiem w głowie" czynników odpowiedzialnych, a zatem — spokojnie mogę stąd odejść... I tam tylko pójdę, gdzie akcja będzie — w porównaniu z przewidywaną na Dworcu — nieco „żywsza". — Bo drogiego miasta chcę „aktywnie" bronić.

Zaczem schodzę na dół. Główny westybul — to pobojowisko ciężkiej walki.. W przedsionku, obok drzwi wejściowych, leżą Ci z naszych, którzy tam tej nocy padli. Trzy, może cztery ciała. Żelazna brama podziurawiona, jak sito...

Po chwili skierowałem się ku szkole Konarskiego.

* * *

DWIE SZKOŁY.

Na piętrze odbywała się rejestracja. Wpisano mię do listy, wydano legitymację. Załatwiwszy z tem, udałem się do wskazanej mi szkolnej sali. Naścielona w dużej ilości słoma stwarzała niejakie możliwości rozebrania się i należytego wypoczynku. Było to jednak w znacznym stopniu zależne od tej czy innej sytuacji na froncie.

Stan ludzi tej sali — przeciętnie kilku do kilkunastu — był ciągle zmienny: jedni właśnie z placówek przybywali, inni na nie odchodzili.

Kuchnia sprawnie opiekowała się głodnymi. Rozdawano także dobre papierosy.

Ucieszony znalezieniem tak pomyślnych warunków powrotu do „formy", postanowiłem odpocząć gruntownie i na „zapas". Byłem przekonany, że ta gratka powtórzy się nieprędko, albo i zupełnie może już nie wróci.

Częściowe potwierdzenie słuszności tych przewidywań nastąpiło jeszcze przed południem, we trzy, cztery godziny od przestąpienia progów szkoły. Oto w pewnej chwili ogłoszono zbiórkę i odmarsz obecnych „dyrekcja" — ogród Pojezuicki.

Choć wiele, coprawda, brakowało mi do owej tak pożądanej formy, to jednak poczucie obowiązku a może tylko ambicja — pod wpływem pierwszego impulsu kazały mi stanąć razem z innymi.

Uczyniłem to bez przekonania. Po piersze — chodziło tu o zwykłą wymianę placówek, a nie jakieś wzmocnienie szczególnie zagrożonego odcinka. Następnie bolały mię jeszcze „wszystkie kości". Ale co najważniejsze, to jakaś przemożna niechęć do angażowania się w walki od strony wewnętrznej miasta.

W zgodzie ze swą „szeroką", nieznoszącą skrępowania naturą — wolałem poszukać dla siebie „frontu" gdzieś w stronie południowej, czy zachodniej, gdzie rozwiewające się szeroko pola, czy przedmiejskie ogrody i domki, stanowią sposobniejszy dla działań wojennych teren, niż ciasne, nieszczególnie lubiane przezemnie i ograniczające wszelkie ruchy miasto centralne.

Wyszliśmy w kilkunastu, grupami.

Doszedłszy ulicą Szeptyckich do wylotu Szumlańskich — zawróciłem „sobie" do szkoły. — Rozebrawszy się i ułożywszy na słomie poraz drugi, byłem ogromnie ze siebie zadowolony.

— — — — — — — — — — — — — —

Późnym już wieczorem, historja zupełnie do po-

Znów ich widać, suną w cwał,
Zda się ognia tworzą zwał...
Gęśle skocznym piskiem tną,
Zbójnik chwyta druchnę swą —
Wikcie z oczu tryska żar,
A z zbójnika bucha war.
Tak złączeni w jeden splot,
Przeskakują ognia płot...
Jak urwany z szczytu głaz,
Zapadają w ciemny las...
Prasnął na mech Wiktę zbój —
Ona szepce: „Jasiu mój!..."
— — — — — — — —
Słabnie watry krwawy blask,
Coraz cichszy iskier trzask.
Zbójcy milczą, jakby mur,
Milczy także Hliński bór...
Kwili tylko gęśli ton:
„Dy to z Wiktą — przecie On!
On—Janosik, zbójnik Tatr,
Las mu swatem, drużbą wiatr!..."



wyższej podobna, powtórzyła się raz jeszcze. Tym razem chodziło o odcinek „Bema“. — Tu jednak powodem powrotu do szkoły mniej może była „awersja“ do okolicy, ile całkowita niemożność zorjentowania się w terenie. Doszedłszy bowiem, w kilku, do zbiegu ulicy Kordeckiego z placem Bema — osłonięci budynkiem łaźni — stanęliśmy bezradnie..

Znając położenie Koszar Ferdynanda i wiedząc, że dalsze posuwanie się bez przewodnika naraziłoby nas niechybnie na zgoła niepożądane z tej strony ostrzelanie, wyczekiwaliśmy dobre pół godziny na kogoś, kto wskazałby nam dalszą drogę. Gdy nikt się nie zjawiał, poczęliśmy po jednemu, po dwu „dezerterować“...

Noc była przepiękna, spokojna. Ulice ciche, bezludne, słabo tu i ówdzie latarnią oświetlone.

Wśród romantycznego pogwizdu kul samotnie wracałem do szkolnej kwatery.

— — — — — — — — — — — —

Piątego rano. Przy słonecznej pogodzie, wypoczęty — „odkomenderowałem“ się do szkoły Sienkiewicza. Tu — ku swemu zadowoleniu — zastałem kolegów Szylinga i Gąsiorka. Widocznie także i oni uznali Dworzec za placówkę, którą możnaby zostawić już „swojemu losowi“...

Po zarejestrowaniu się — skierowany zostałem do magazynu mundurów, gdzie otrzymałem nowy komplet, ileże do tej chwili przebywałem w swym garniturze cywilnym.

Ledwie zdążyłem się przebrać — powstaje alarm: atak Ukraińców na szkołę!

W paru minutach formuje podporucznik Petry oddziałek z jakich około dwudziestu ludzi. Ulicami Dunin Borkowskich i Listopada biegniemy w kierunku t. zw. „Francówki“. — Według meldunku, Ukraińcy usadowili się z maszynowym karabinem w budynku stacyjnym na Kulparkowie. Trzeba ich stamtąd wyrzucić.

Już jesteśmy w wąwozie za willą Franca. Wdrapujemy się na przeciwległy brzeg. Chwila zastanowienia. — Petry zwraca się do nas krótko: „Chłopcy! A niezawiedźcie mię tylko!... Naprzód!...“

Wybiegają legjoniści: Gąsiorek, Szyling, Petryszyn i ja oraz jeszcze ze dwu, jak mówiono później — gimnazjalnych studentów. Co czyni reszta oddziału — nie wiem.

Nieprzyjaciel — w odległości trzystu kroków.

Gąsiorek — Petryszyn — ja — biegniemy na lewem skrzydle, Szyling i studenci na prawem. Po kilkunastu krokach zaczyna przemawiać ukraiński karabin. Padamy na ziemię. Złożyło się, że my, ze skrzydła lewego — mamy akurat przed sobą rozrzucone na polu jakieś betonowe rury. Naturalnie, wykorzystujemy to, jako osłonę. Prawe skrzydło, przedewszystkiem obaj studenci — leżą w polu otwartem... I już oto widzę skutek owego stanu rzeczy: głowa jednego ze studentów drga w śmiertelnych podrzutach, celnie przeszyta z ukraińskiej maszyny...

Co z innymi — nie widzę. Obok mnie jest tylko Petryszyn. Uznajemy za jedyne wyjście — szybki wybieg w lewo — poza pobliski, otaczający parcelę u rogu ulicy Grochowskiej, parkan. Tak też czynimy. Celem naszym jest obecnie dostanie się do jednej z will, przy ulicy tej położonych, by z jej okien móc się następnie ostrzeliwać. Czynimy to błyskawicznie, bo nieprzyjaciel, mając nas w polu widzenia — może zamiary te każdej chwili bezpowrotnie uniemożliwić.

Dopadamy pierwszej bramy: zamknięta... Druga — otwarta. Z domowników jest tylko służąca gospodarzy. Parę słów usprawiedliwienia i wdrapujemy się na strych willi. Ledwieśmy tam wyjrzeli z okna — sypnęły się nam na głowy strzałami strzaskane dachówki... Najwidoczniej ruchy nasze Ukraińcy zauważyli.

Dajemy narazie za wygraną. Korzystając z okazji, prosimy o ciepłą wodę i mydło. Myjemy się.

W międzyczasie strzały cichną. Wychodzimy. Natykamy się na któregoś z naszych, który informuje, że dowódca, po nieszczęśliwej próbie ataku, w którym obaj studenci zginęli, a kolega Szyling raniony został w rękę — wycofał się z resztą oddziału do szkoły, Ukraińców zaś odrzucił dopiero nasz karabin maszynowy, specjalnie w tym celu umieszczony na jednem z drzew „ogrodu Zielińskiego“.

Wszystko zatem w porządku. — Pora na obiad, idziemy do Sienkiewicza.

Tego jeszcze dnia, o późnej, przedwieczornej porze, wszyscy w szkole obecni — otrzymali z rozkazu dowódcy odcinka, Boruty-Spiechowicza — polecenie zebrania się na szkolnym dziedzińcu.

W promieniach słonecznego zachodu stanęło kilka żołnierskich szeregów: — ludzi razem około setka.

Pojawił się kapitan Boruta. — Zobaczywszy go i posłyszawszy wtedy poraz pierwszy, a — jak dotąd — ostatni, po wrażeniu, jakie odrazu na mnie uczynił — zrozumiałem, skąd bierze się ów powszechny, entuzjastyczny wprost zachwyt, otaczający tę wyjątkowo piękną dla swych rzadkich, bo wszechstronnych zalet, idealnie przytem skromną postać ukochanego Wodza...

Wygłasza do nas krótkie przemówienie. Mówi, że zebrał nas celem uformowania pierwszej regularnej kompanji, która zajmie odcinek frontu wzdłuż kolejowego toru. Dowództwo tejże obejmie porucznik Bergman. — Każe wystąpić z szeregów byłym szarżom i legjonistom. Występuję i ja, poczem Boru-

ta, podzieliwszy kompanję na plutony i sekcje, przydziela nam odpowiednie funkcje. Mnie dostaje się sekcja pierwsza plutonu trzeciego, dowodzonego przez podchorążego Pluteckiego. Drugą otrzymuje kolega mój szkolny, legjonista Michał Trojnar.

W doskonałym nastroju, w poczuciu swej niezmożoności i z przeczuciem zwycięstwa — odmaszerowała kompanja po chwili na wyznaczone jej stanowiska.

Cudowny był wtedy zachód, a droga wypadła nam właśnie nawprost czerwonozłotego, powoli znikającego już słońca...

KOMPANJA BERGMANA.

Dowództwo kompanji ulokowało się w domu nr. 88 przy Drodze Kulparkowskiej, a więc tuż pod samym „frontem". — Plutony zakwaterowano wzdłuż ulicy Torowej, trzeci — pod numerem — 57-ym i w paru domach sąsiednich.

Nasyp od strony miasta (jeden z dwu, między którymi biegnie tor kolejowy) — nieco wyższy od przeciwległego, miał stanowić od teraz naszą bojową linję.

Z natury rzeczy, pierwszą uwagę zwróciliśmy w kierunku należytego umocnienia naszych stanowisk, temwięcej, że dysponując w plutonie siłą poniżej dwudziestu ludzi, mieliśmy powierzony sobie odcinek parusetmetrowej długości. Pozycje bowiem plutonu opierają się z lewej o most Lubieński (t. zw. „Czerwony"), jako dzielący nas od plutonu drugiego — łączyły od prawej strony z plutonem czwartym w punkcie, przecinającym w połowie odległość, jaka dzieli mosty Lubieński i Gródecki od siebie.

Most Lubieński — nasz strategiczny benjaminek — miał naturalnie w staraniach naszych pierwszeństwo. Tu, u wylotu południowego, wykonaliśmy niezwłocznie — z lewej i prawej, od wewnątrz — dwa małe okopiki, opatrując przedpole kolczastemi zasiekami. Następnie okopaliśmy rzadziutkie nasze stanowiska na powierzchni nasypu.

Niebawem zjawił się na kwaterze i telefon polowy, łącząc nas z resztą oddziałów kompanji.

Wiadomości z pierwszych kilku dni i nocy były przeważnie „dobrotliwe": nieprzyjaciela w pobliżu niema — spokój zupełny. — Dopiero gdzieś między 10 a 13-tym — tragiczne doniesienie plutonu czwartego: „sierżant X. (nazwiska nie pamiętam) ranny w czasie patroli, później przez chłopów dobity"..

Wogóle z tymi chłopami zapowiadały się niejakie na przyszłość kłopoty. Ostrzegano nas bowiem, że w okolicznych wsiach tworzą się z nich bandy, mogące przejść lada dzień — a raczej noc — do ataku. — Dziwił nas natomiast brak agresji ze strony ukraińskich oddziałów regularnych. Przecież w mieście walka trwa nieprzerwanie, zacięta i krwawa, a tu — choć i linja słabo obsadzona, i niektóre jej punkty szczególnie do podejścia łatwe (vide przedpola plutonów trzeciego i czwartego, gdzie domy Sygniówki Małej dochodzą aż pod nasyp kolejowy), wogóle nie słychać o jakiej choćby ich patroli... Ale do czasu, do czasu, — „pocieszałem" się, jak mogłem.

Narazie musiało nam wystarczyć zaprawianie się w strzelaniu — „do nieba"... Odbywało się to następująco: w lokalnej ciszy nocnej rozlega się strzał jeden, drugi, trzeci... Strzela któraś z naszych placówek; najczęściej zaczynają wtórować jej inne. Rzecz zrozumiała — należy natychmiast sprawdzić, co zaszło. A nuż oczekiwany, a każdej chwili możliwy atak... Zatem karabiny do rąk — wybiegamy. Kilka skoków — jesteśmy na wierzchołku nasypu: ataku niema, a tylko posterunkowi naszemu zdawało się, że coś gdzieś się przed nim „poruszyło"... Oświadczenie takie przyjmujemy do wiadomości, w obawie, by słusznymi skądinąd wyrzutami nie osłabiać jego dalszej czujności. Solidarnie tedy psujemy teraz wszyscy po kilka naboi, mierząc w przestrzeń, przed siebie. Czynimy to z tem jeszcze dodatkowem wyrachowaniem, by niewidoczny, ale gdzieś tam przecież obecny przed nami nieprzyjaciel wiedział, że tu nieprzerwanie czuwamy. Choć osobiście wyglądało mi to nieco na owe historyczne „chińskie smoki"...

Powtarzało się to co godzina, co dwie, regularnie noc po nocy. Nic zatem dziwnego, że wyczerpanie bezsennością było powszechne i ogromne. Zaradzić temu — nie sposób, ludzi mało, przeważali zaś nieobyci z wojną chłopcy lat 16 do 18-tu. Ostatecznie jakoś się to wytrzymywało, dzięki zaś wszelkim innym warunkom — samopoczucie i nastrój były ogólnie doskonałe.

Dnie przechodziły pozatem spokojnie: patrolowało się wzdłuż nasypu, ulepszało okopy. Niekiedy ćwiczenia praktyczne w rzutach granatem, ot i wszystko.

„Życie" było dobre. Kuchnia dojeżdżała punktualnie. Raz tylko — dwunastego zdaje się listopada — otrzymaliśmy obiad aż późną nocą: drogi dojazdowe stały od południa w silnym ogniu Ukraińców, których tego właśnie dnia wreszcieśmy się doczekali.

Usadowiwszy się w znacznej sile we willi obok Zakładu — atakowali stanowiska plutonu pierwszego.

Słabe tylko dochodziły nas echa prowadzonej tam walki. Osłonięci mostem, biernie oczekiwaliśmy dalszego rozwoju wypadków.

Dzień 13-go listopada przynosi koncentryczny atak sił polskich — rozbicie i odrzucenie oddziałów ukraińskich. Szczegółów podać nie mogę, albowiem i tym razem przypadła plutonowi mojemu rola bierna: trwanie na stanowiskach.

Dopiero w nocy, po wszystkiem, gdy znowu

zapanowały spokój i cisza, obie sekcje ruszyły naprzód, okupując na parę godzin odległą o kilometr cegielnię Lantnera.

Po wyrzuceniu kilku rakiet wróciliśmy do kwater. W całym rejonie penetrowały teraz konne patrole naszych „Wilków“.

Następne przedpołudnie upłynęło jak zwykle — w całkowitym spokoju. Nic nigdzie się nie działo, nic nie zaszło, ani u nas, ani w sąsiedztwie.

Po obiedzie, gdzieś około trzeciej, otrzymał pluton rozkaz udania się na patrol. Wyruszyliśmy niezwłocznie, i prawie w komplecie, zostawiwszy na pozycji niezbędne tylko minimum placówek.

Kierunek południowy, — zatem na lewo wskos od naszych stanowisk, via Zakład umysłowo-chorych.

Jesteśmy już w jego obrębie. Ktoś po drodze informuje, że w kostnicy Zakładu leżą ofiary wczorajszego ataku. Wstępujemy popatrzeć.

Na stołach, podłodze, leżą szeregiem białe jak płótno ciała poległych. Naszych — jak mówią — czteru, Ukraińców sześciu. W liczbie ostatnich — kapitan, dowódca oddziału. Okropna rana głowy: brak całej połowy twarzy.

Widok naprawdę ponury... Opadły mię jakieś złe przeczucia...

Minąwszy wieś, dochodzimy do gminnego cmentarza. Obserwujemy rozległe, rozpostarte wokół nas równiny.

Na zachodzie — w półtorakilometrowem oddaleniu — szereg punkcików...

Plutecki wpatruje się uważnie, wreszcie konstatuje, że to nieprzyjacielska patrol. Każe nastawić celowniki... Komenda — kilka salw plutonu — „punkciki“ przywarły do ziemi...

Proponuję Pluteckiemu podejście bliżej. Nie zgadza się.

Zostawiwszy „ostrzelanych“ własnemu losowi — zawracamy w stronę wuleckiej rogatki. Wchodzimy na teren folwarku u wschodniej krawędzi Kulparkowa. — Za budynkami — jakiś zaniedbany park, stare drzewa. Tu krótki postój.

W kierunku północno wschodnim, na równinie — „Linarka“ zwanej, w odległości jakich trzystu od nas kroków, stoi samotny, parterowy dom.

Wziąwszy dwu ludzi — mam ów domek na rozkaz Pluteckiego spatrolować.

Zdecydowanie występuje teraz u mnie — wspomniane przedtem — złe przeczucie... Jakiś głos wewnętrzny ostrzega przed wypełnieniem rozkazu. Ale trudno — „to wojna“ — jeszcze mi zostaje próba rzeczowej perswazji: rozkaz wykonam, lecz sądzę, że zamiast podchodzić równiną, frontalnie — lepiej będzie przedostawać się tam drogą okrężną, pod osłoną grubych drzew parku...

Plutecki względów takich nie uznaje, a śmiejąc się drwiąco — zarzuca, że mam widocznie „mojrę“...

Tego ścierpieć nie mogłem, nie umiałem... Jedna tylko prośba: ludzi sam nie wyznaczę, lecz zgłoszą się na ochotnika.

Już występuje dwu — najlepszych w sekcji — chłopcy szesnastoletni.

Idziemy... Chłopcy moi — po lewej i prawej, o kilka kroków odemnie.

Jesteśmy w połowie drogi... Wtem — salwa — druga — dalsze...

„Padnij!!!“ — „róbcie to, co ja“, wołam przerażony, bo zorjentowany teraz, kto i skąd w nas bije... Oto placówki nasze z okolic toru: most wulecki — most stryjski — wzięły nas za Ukraińców... Tragedja.. Nieszczęście...

Cofamy się leżąco, zygzakiem... Jedyna, choć wątpliwa szansa ratunku...

Grad kul pada w ziemię, przed nami, inne przenoszą. Wokół równina, park — jakie sto metrów za nami...

Rzucam okiem w prawo; ten — leży wsparty na łokciach... Z ust, otwartych, spływa krew... postrzał w piersi... Po chwili przylgnie do ziemi zupełnie. To postrzał drugi, w głowę...

Tamten z lewej, nie wytrzymał: rzuciwszy się do odwrotu biegiem — w drodze ranny trzy razy... szczęściem lekko, bo w obie tylko ręce i nogę.

Teren mokry, błotnisty. Płaszcz, podgjąwszy się od pasa w górę — ciężki od wody — zwiększa niepomiernie trud posuwania się wstecz w pozycji leżącej. Na dobitek — roztargniony — wlokę jeszcze na znacznej przestrzeni zgoła niepotrzebny teraz, lecz zawsze po żołniersku drogi mi karabin...

Wysiłek śmiertelny... Już — już — chcę rezygnować, jeszcze krok... jeszcze — ostatni... Wtem na prawo — ocalenie.. mały, półmetrowy pagórek... Jeszcze metr, dwa, do niego, i — leżę, uratowany. A tak trudem śmiertelnym zmożony, że prawie bez życia.

Podnieśli mnie — po czasie — koledzy. Usadowiwszy na wozie, odwieźli do szkoły Sienkiewicza. Tam był nasz polowy szpital.

— — — — — — — — — — — —

Djagnoza opiewała na grypę. Faktycznie jednak nietyle ona, ile doznany ostatnio wstrząs nerwowy obezwładnił mnie całkowicie, wytrącając karabin z ręki. Przeniesiony po dwu tygodniach do szpitala na Technice, skreślony zostałem dnia 16 grudnia ze stanu chorych, otrzymując dodatkowo 5 dni urlopu na rekonwalescencję.

O stosunkach szpitalnych wspomnę tylko, że były ogromnie miłe, opieka bez zarzutu.

Po wyleczeniu się przeszedłem do służby etapowej.

JÓZEF BIAŁYNIA CHOŁODECKI.

Ze wspomnień historycznych.

Akademicy lwowscy w koszarach austrjackich.

(Dokończenie).

Długi pobyt w Galicji i małżeństwo z Polką z domu Szymanowskich usposobiły go przychylnie dla kraju. W czasie powstania styczniowego nie wahał się zwiedzać obozu generała Antoniego Jeziorańskiego pod Kobylanką, podkomendni huzarzy jego zaś zwykli byli dopomagać do ucieczki pochwytanym przez patrole partyzantom. Mianowany po zaprowadzeniu stanu oblężenia (r. 1864) naczelnikiem okręgu rzeszowskiego, zajmował się więcej, aniżeli sprawami politycznemi, porządkami w mieście, gdzie z punktu sanitarnego trzymał w karbach niechlujną ludność żydowską. Porywczy, popadał łatwo w konflikty, a wobec żydów nie przebierał w środkach, rozdzielał szpicrutą plagi każdemu, który mu nie ustąpił z drogi, lub co gorsza obserwował, przechodząc ulicą, jego wąsy, zdefigurowane wskutek blizny na twarzy, pozostałej po niefortunnym pojedynku. Dla żołnierzy był życzliwie usposobiony, to też i przez nich lubiany, zwłaszcza, gdy im opowiadał bajeczki w koślawionym niemiłosiernie polskim języku, o owych 25 „sztoksztrajchach", jakie on — „graf Wallis" odbierał jako żołnierz za złą defiladę przed komendantem. „ -- A ty durny chłop, co...?" — „konkludował", nakazując trzymać się ostro przy defiladzie przed „komenderującym generałem Erlaucht-Neipperg". Kontrastem powyższych dygnitarzy był wspomniany poprzednio pułkownik Józef Heinold. Wątłej postaci, o cienkim głosie wskutek odniesionej w bitwie rany w szyję, objawiał na każdym kroku wyższy umysł i szlachetne serce. Interesował się on żywo losem jednorocznych ochotników i postępami w nauce, powtarzał przytem ulubione swe zdanie, iż „młodzieży potrzeba powietrza i światła". Na półroczny nasz egzamin sprosił całe grono oficerskie, o ile było wolne od służby, twierdził, że i oficerowie mogą przytem skorzystać dla wzbogacenia swej wiedzy. Niebawem został powołany na stanowisko brygadjera, a miejsce jego zajął odmiennego typu komendant, pułkownik Józef Manngold, którego ojciec, kapitan, zwał się, jak twierdzono, pierwotnie Goldmannem, a dopiero po przyjęciu wiary chrześcijańskiej zmienił nazwisko przez przestawienie głosek. Manngold, ożeniony z Polką, właścicielką znanej w krwawych wypadkach r. 1846 włości Horożany, był typem marsowego żołnierza. Wydatnego wzrostu i tuszy, o olbrzymich, sumiastych wąsach, z wygiętą, na wzór karabeli, szablą, wyborny jeździec, toczył z brawurą koniem przed frontem, gdy zaś spiął rumaka ostrogami, gdy pędził wyciągniętym galopem, by złożyć raport przełożonemu, a wąsy jego niby dwie miotły, fruwały w powietrzu, przedstawiał zjawisko, godne pędzla malarza. Jako przełożony, nie był atoli lubianym, to też nie asystowali mu po promenadzie podkomendni, z wyjątkiem jednego podporucznika, oficera prowiantów Karola Walki. Podpułkownikiem był Albin Kövess de Kövesshaza. Nazwisko to zasłynęło później na widowni dziejów w czasie ofensywy wojsk austrjackich przeciw Serbom. Korpus niższych stopni oficerów składał się z Niemców, Czechów, Chorwatów i wydatnego procentu Polaków, którzy tworzyli zwartą grupę, posługiwali się w towarzyskiej rozmowie ojczystym językiem i zwani byli przez swych obcoplemiennych kolegów „die polnischen Schlachzizen". Prym wiedli między nimi kapitanowie, późniejsi pułkownicy, Mieczysław Trzaska-Kotowski, zrodzony z bar. Brunickiej, Józef Boniewski, tudzież porucznik Feliks Rola-Kłoszowski, adjutant pułku. Obok nich grupowali się kapitanowie Aleksander Sienkiewicz, Józef Bąkowski, Seweryn Waydowski, August Bończa-Osmólski, Klemens Bielecki, porucznicy Szymon Baczewski, Roman Gutowski, Franciszek Kucharski, Aleksander Krawczykiewicz, syn cenionego ogólnie więźnia politycznego i dyrektora Kasy oszczędności we Lwowie, (zwany przez nierozumiejących brzmienia nazwiska Niemców „Graf Czykiewicz"), dalej podporucznik Leon Gregorowicz (późniejszy generał) i kadeci zastępcy oficerów Karol Krauss (późniejszy podpułkownik, wywieziony w r. 1914 przez Rosjan ze Lwowa do Kijowa), Józef Klein (zmarł jako kapitan w niewoli w Kijowie r. 1917), Edward Janusz (późniejszy właściciel zakładu fotograficznego w Rrzeszowie), Leon Wikarski (ziemianin, dzierżawca włości Lackie obok Złoczowa), Ferdynand Wysocki (późniejszy dyrektor urzędu loteryjnego we Lwowie) itd. Smutny był koniec zastępcy oficera Antoniego Schumana, potomka mieszczańskiej rodziny Lwowa. Tyran wobec podkomendnych, hardy i wyniosły wobec kolegów, impertynent i arogant wobec cywilnej ludności, odziedziczywszy po ojcu kilkadziesiąt tysięcy złr. przeniósł się do kawalerji. Tam wiódł życie hulaszcze, stracił rychło kapitalik, popadł w długi, dopuszczał się czynów niehonorowych, musiał kwitować, spadał coraz niżej, wyciągał rękę po jałmużnę, ostatecznie w towarzystwie szumowin społeczeństwa spalił się w swem legowisku, wśród stert siana wojskowego dostawcy Józefa Rosnera za rogatką Janowską podczas pożaru,

jaki wybuchł 17 stycznia r. 1886. Komendantem oddziału jednorocznych ochotników był kapitan (późniejszy pułkownik) Henryk Probst, instruktorami podporucznicy Jan Pohl i Jerzy Matzinger, tudzież zastępca oficera Józef Felsner człowiek rubaszny, lecz w gruncie rzeczy niezły. Po ukończeniu elementów praktycznych ćwiczeń, przekształceni z rekrutów w żołnierzy, podzieliliśmy się na dwie grupy. Drobna część zgłosiła się do służby w oddziałach prowiantowych, ogół przeszedł do szkoły teorytycznych wykładów, połączonych z praktycznemi ćwiczeniami i służbą wartowniczą, bądź to na głównym odwachu, bądź na innych posterunkach. Nie bez wrażenia zaciągnęliśmy wartę w domu karnym „Brygidek", mieszczącym w sobie tysiąc kilkuset pospolitych zbrodniarzy, wśród nich, w oddzielnym kurytarzu, pobrzękujących kajdanami t. z „festunkowych" kryminalistów. Chcąc poznać wnętrze, ustrój zakładu karnego, krążyliśmy patrolami częściej i liczniej, aniżeli to było przepisane surowym, zresztą, regulaminem. Nazajutrz w obiadowej porze wyłonił się wśród więźniów bunt z powodu złego wiktu. Zażegnaliśmy go, atoli tylko chwilowo. Po zdaniu przez nas warty powstały na nowo rozruchy i znalazły epilog w zastrzeleniu jednego, a zranieniu drugiego z zrewoltowanych osobników. Z inteligencji, jaka pokutowała wówczas za grzechy w zakładzie Brygidek, utkwiły mi w pamięci postacie jakiegoś barona rosyjskiego, fałszerza weksli, czy banknotów, dalej pocztmistrza-defraudanta, niemniej niezwykle sprytnego oszusta, kontrolora loteryjnego T... K..., który w porozumieniu z dwoma innymi sprawcami wygrywał podstępnie wysokie na loterji terna i kwinterna. Senjorem niejako kryminalistów był adwokat Such., który większą część życia swego przepędził w Brygidkach za fałszowanie stempli, następnie za współudział w zamordowaniu księdza. W celi więziennej tłumaczył umiejętnie z niemieckiego prawnicze podręczniki dla firmy antykwarza Bodeka a gdy Bodek, jako wydawca, wzbraniał się następnie uiścić umówione honorarjum, doniósł o istnieniu w jego domu tajnej drukarni. Nałożona fiskalna grzywna zrujnowała Bodeka. Po złożeniu półrocznego egzaminu zostaliśmy awansowani w miarę klasyfikacji jedni na kaprali, drudzy na gefrejtrów i rozpoczęli ćwiczenia w strzelaniu do tarcz ostrymi nabojami Wielu z nas, wychowanych na wsi, uprawiało od dawna sport myśliwski, było obznajomionych z flintą, to też awansowaliśmy szybko na wojskowej strzelnicy w kierunku zdobycia odznak strzelców pierwszej klasy. Obudziło to podejrzenie wśród oficerów: na kontrolę przybył generał-brygadjer. Między innymi powołał i mnie do produkcji pod jego okiem. Byłem

---

Dr. M. ROSNER. Warszawa.

Prusy pod zakonem krzyżackim i ich stosunki z Polską

w latach 1435—1454.

Praca hist. nagrodzona przez Ministerstwo Wyznań Relig. i Oświecenia Publ.

II. Wewnętrzne stosunki pruskie.

a) Zatargi wśród krzyżaków.

(Ciąg dalszy).

Zakon krzyżacki przedstawiał sobą — że użyję plastycznego wyrażenia — olbrzymi gmach państwowy, którego główny zrąb spoczywał na ziemiach polsko - pruskich, a skrzydłami swemi sięgał do Inflant na wschód, a do Niemiec na zachód. Węzłami karności silnie spojony, tworzył on organizacyjnie jednolitą całość, mimo rozprószenia przestrzennego Mistrz inflancki oraz niemiecki mistrz t. zw. „baleji" t.j. prowincyj zakonnych w Frankfurcie, Biessen, Marburgu, Utrechcie, Turyngji, Westfalji, Lotaryngji i Saksonji widzieli w w. mistrzu zwierzchnika swego, z którym w czasie świetności i potęgi Zakonu współdziałali w zupełnej zgodzie i harmonji. Harmonja ta zaczęła się mącić, gdy Zakon zaczął się chylić ku upadkowi. Zarysowuje się wtedy wyraźna tendencja uniezależnienia się od w. mistrza. Objawy niesubordynacj wychodzą na jaw zarówno w Inflantach, jak i w Niemczech już w początku XV. wieku, n p. przy wyborze mistrzów, gdy kapituły starają się wbrew przyjętym zwyczajom uniezależnić wybór od w. mistrza. Niczem to jednak wobec tego, co zaszło pod tym względem po pokoju brzeskim.

Wiadomości o warunkach pokoju brzeskiego, zrobiły w Niemczech piorunujące wrażenie. Najgłębiej był niemi dotknięty cesarz Zygmunt luksemburski. Posłom Zakonu, od których dowiedział się o treści traktatu, oświadczył on, że już postara się o to, by w. mistrz poczuł, że ma nad sobą zwierzchnika, bez zgody którego nie miał prawa przyjąć takich warunków pokoju. I dotrzymał słowa. Nie jest to wprawdzie źródłami stwierdzone, ale znając zręczność Zygmunta w nawiązywaniu intryg, któremi szczególnie w Polsce się upamiętnił — że tylko wspomnę ostatnią i najgłośniejszą intrygę koronacyjną Witolda – zdaje się nie ulegać wątpliwości, że jego to była ręka w tej akcji, rozpoczętej przez mistrza niemieckiego Eberharda von Sansheima przeciw wielkiemu mistrzowi.

Opierając się na statutach, nadanych rzekomo w r. 1329 przez w. mistrza Wernera v. Orseln, zażądał Sansheim od w. mistrza cofnięcia czterech artykułów traktatu pokoju brzeskiego. Oprócz bowiem

przekonany, że pod wpływem emocji spudłuję. Stało się przeciwnie. Tarcza zamarkowała centrum; wyszedłem zwycięsko. Nadeszły letnie miesiące, epoka forsownych ćwiczeń w polu, wśród kurzu i upałów, równocześnie epoka do nauki egzaminu oficerskiego Bezpośrednio przed dopuszczeniem do popisu defilowaliśmy po jednemu przed gronem oficerów, które orzekało następnie, czy uznaje nas godnymi stopnia oficerskiego. Z Wiednia przyszło tymczasem polecenie ostrej klasyfikacji, tak przy teoretycznych, jak i praktycznych popisach; zmieniono więc system egzaminów, który polegał na losowaniu kartek z gotowemi pytaniami, i poczęto, obok wyciągniętych pytań zadawać ustne zagadnienia. Radziliśmy sobie, jak każdy mógł i zdołał, i wobec krzyżowego ognia wygłaszali bez długiego namysłu zdania, nie dając członkom komisji wiele czasu do zastanowienia się nad naszemi odpowiedziami. Z tem wszystkiem zdołało zaledwie 15 nas — na 116 ochotników lwowskiego garnizonu — uzyskać w pierwszym roku pomyślną kwalifikację. Resztą albo została reprobowana, albo odłożyła egzamin do następnego roku, lub też zupełnie zrezygnowała z szlif oficerskich. W cztery lata później odbywałem, jako podporucznik, ćwiczenia broni przy tym samym 80 pułku piechoty, wśród tego samego prawie grona oficerów -- Polaków, a dopiero przy awansie na porucznika przydzielono mnie do 75 (radowieckiego) bataljonu obrony krajowej, złożonego z żołnierzy: Rumunów, Rusinów, Węgrów, Niemców i Słowaków, oficerów zaś niemieckiej narodowości.



Gmach Państw. Gimnazjum VIII we Lwowie.

* * *

Dnia 17 czerwca r. 1919 odbyła się w wielkich koszarach przy ulicy Zamarstynowskiej uroczystość otwarcia „Świetlicy" dla żołnierza polskiego. Wzięli w niej udział: dowódca okręgu generał Emil

dwu artykułów wspomnianych w rozdziale I., wytknął on jeszcze dwa inne artykuły, a mianowicie: o opuszczeniu Świdrygiełły, oraz o wydaniu Polsce Nieszawy z okręgiem.[1])

Fakt postawienia przez mistrza niemieckiego takiego żądania był bezprzecznie wdzieraniem się w zakres władzy w. mistrza i ograniczeniem tej władzy na korzyść mistrza niemieckiego, któryby dostał prawo kontroli nad działalnością w. mistrza.

Twórcom tej koncepcji[2]) przyznania mistrzowi niemieckiemu przemożnego wpływu w sprawach Zakonu — niezależnie od tego, czy był to cesarz, czy inni — przyświecała niezawodnie myśl głębsza aniżeli samo ukaranie Russdorfa, lub żądza władzy Sansheima, w jakiemto świetle przedstawia tę sprawę Voigt w „Dziejach Prus". Zarysowuje się tu wyraźnie dążność do przeniesienia punktu ciężkości polityki Zakonu z Prus do Niemiec. A może było to narazie krokiem pierwszym, po którym miały nastąpić dalsze w tym kierunku. Widząc zależność w. mistrza od stanów pruskich, chcieli twórcy tej koncepcji przedewszystkiem utworzyć przeciwwagę przez uzależnienie go z drugiej strony od mistrza niemieckiego, który siłą rzeczy był ściślej związany z Rzeszą Niemiecką i temwięcej musiał ulegać wpływom niemieckim.

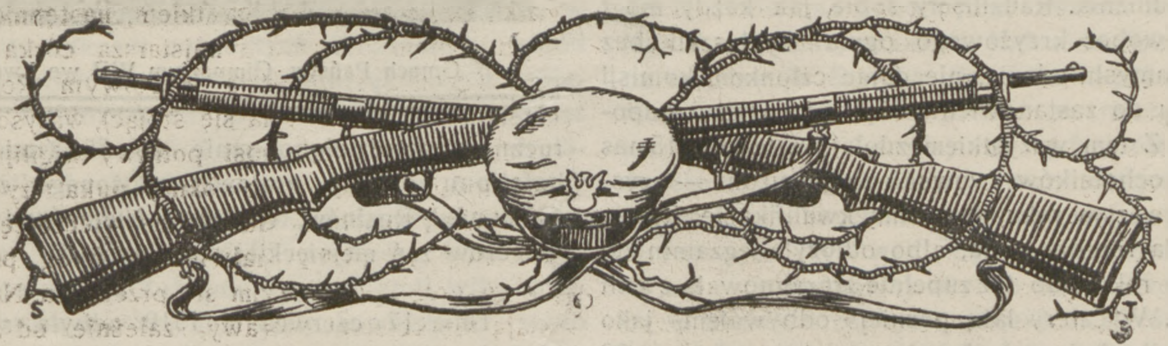
Że celem tej walki była właśnie wspomniana idea, w imię której rozpoczęto walkę wewnętrzną, świadczą słowa Russdorfa w piśmie z dnia 10 lipca 1439 r., skierowanem do nadprokuratora Zakonu Jana Kreula. Pisze mu Russdorf między innemi w te słowa: „Bóg świadkiem, że gdybyśmy wiedzieli, że oni (mistrze niemiecki i inflancki) uczciwe mają zamiary, to nasza osoba nie byłaby przeszkodą; chętniebyśmy ustąpili, by mieć spokój. Ale im chodzi o samą władzę w. mistrza i chcieliby poddać sobie ten kraj, na co w żaden sposób dozwolić nie można, a do czego poddani bynajmniej nie dopuszczą".

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Że główny nacisk położono na pierwsze dwa artykuły jako najistotniejsze, jest rzeczą jasną. Musiano jednak, naszem zdaniem, wytknąć i ostatnie dwa artykuły, bo podstawę prawną do zaczepienia traktatu brzeskiego dał właśnie jedynie art. 4. co do odstąpienia Nieszawy, albowiem wyłącznie ten artykuł kolidował ze statutami Wernera v. Orseln, które orzekły, że w. mistrzowi nie wolno samemu odstąpić nikomu terytorjum pruskiego ponad wartość 2000 grzywien srebra (LEK. IX nr. 655). Jako usprawiedliwienie zaś, że żądano od w. mistrza, by złamał złożoną dopiero uroczystą przysięgę na pokój z Polską, miało służyć wysunięcie art. III. o Świdrygielle Jemu bowiem w. mistrz był przysiągł dotrzymać sojuszu. Ostatnia przysięga na pokój brzeski jest zatem, jako późniejsza, nieważna.

[2]) Jeśli nawet statuty Wernera v. Orseln były autentyczne — sprawa dotychczas niewyjaśniona — to nigdy ani próby nie było stosowania ich w praktyce.

Gołogórski, komendant placu pułkownik Maksymilian Linda i liczni oficerowie, jako delegaci poszczególnych formacyj i oddziałów, konsystujących we Lwowie. Program uroczystości objął między innymi punktami, mój odczyt — z ramienia Uniwersytetu żołnierskiego — na temat dziejów miejsca, na którem mieszczą się Wielkie koszary i sąsiadujące budynki wojskowe. Gdyśmy na zakończenie uroczystości weszli do wnętrza „Świetlicy", znalazłem się w tej samej sali, w której słuchałem ongi wykładów wojskowych. Czyż mogłem przypuszczać kiedy, iż w półwiekową rocznicę istnienia instytucji jednorocznych ochotników, będzie wśród murów dawnej ich uczelni spływać światło wiedzy na żołnierzy wolnej, niepodległej, zjednoczonej Polski!... W lipcu r. 1920 zaroiły się mury Wielkich koszar od dziarskiej młodzieży małopolskich oddziałów ochotniczych, dążących przeciw nawale bolszewików w obronie kresów wschodnich, w obronie wieńczonego cierniową koroną Lwowa. Nie bez wzruszenia śpieszyłem wtedy do gmachu koszarowego, by odwiedzić najmłodszego syna Olgierda, który, aczkolwiek głuchoniemy, chwycił wraz z kilku kolegami za oręż i odziany w mundur polski z odznaką „Orląt" na piersi szedł w bój pod hasłem: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród!"...



STOCHEL STANISŁAW. Myślachowice k. Trzebini.

Zwyczaje świąt Bożego Narodzenia

na południowo-zachodnich Kresach Polski.

Okres od św. Łucji do Trzech Króli.

ŚW. ŁUCJA.

Już od św. Łucji z dnia na dzień wyczekuje się świąt Bożego Narodzenia. Św. Łucja jest niejako dniem przełomowym w życiu ludu, który od tego dnia czyni wróżby o przyszłym roku. Pociecha wstępuje w serce człowieka, gdyż „Św. Łucja, dnia przyrzuca", dzień będzie coraz dłuższy, słońce coraz większe będzie zataczać kręgi, a jego promienie obudzą życie wiosny.

Człowiek dąży do polepszenia bytu, wyczekuje ustawicznej zmiany na lepsze, marzy o szczęściu. To też w dawnych czasach był zwyczaj (dziś zanika), iż każdy członek rodziny, w dniu św. Łucji, o świcie, przed wschodem słońca, zrywał gałązkę wiśni i oznaczywszy swojem imieniem, wspólnie wkładał gałązki do flaszki z wodą, lub garnuszka. Jeśli te gałązki zakwitły w dzień B. N., to oznaczało, że życie będzie kwitło zdrowiem i szczęściem, w przeciwnym razie, nowy rok będzie dla danego osobnika nieszczególnie pomyślny.

Gospodynie w wieczór św. Łucji obserwują niebo. Jeżeli niebo jest gwiaździste, to kury będą nośne, jeżeli zaś jest mało gwiazd, to krowy będą mleczne. Także, począwszy od św. Łucji, lud obserwuje dwanaście następnych dni i z pogody tychże wróży o stanie pogody dwunastu miesięcy nowego roku. Jaki dzień św. Łucji, taki styczeń, i t. d.

WIGILJA.

Od św. Łucji dni szybko lecą, zbliżają się „godnie" święta, które poprzedza wigilja. Z dniem tym związane są różne zwyczaje, przepowiednie, przesądy i wierzenia, co sprawia, iż dzień ten jest inny od poprzednich, jakiś uroczystszy, mający wielkie znaczenie w życiu człowieka w następnym roku.

Dzień wigilijny, od samego rana, znamionuje ożywiony ruch. Równo ze świtem wszyscy wstają i bez szemrania, w jaknajlepszej zgodzie, udają się do swoich zajęć, które też należy dokładnie i szybko wykonywać, aby w nowym roku być rzeźkim i starannym. Ojcowie zajmują się pracą koło domu (o ile nie są zajęci pracą zawodową), matki z córkami przed południem urządzają generalne sprzątanie w domu, a popołudniu przygotowują ciasta i potrawy na wieczerzę i święta, dzieci zaś, po kątach, w ciszy, przygotowują ozdoby na sad.

Tradycją uświęcone jest zachowanie się w tym dniu młodzieży i starszych. Dzieci winne są zacho-

wywać się grzecznie i spokojnie, uważać, by nie dostać pasem, lub kijem, od ojca, lub matki, gdyż w przeciwnym razie w ciągu roku będą brały „lanie". Natomiast winne się zająć pracą, jaką wyznaczą rodzice, a przedewszystkiem wyrzucać nawóz ze stajni, który trzy tygodnie przed wilją nie był wyrzucany, w tym celu, aby miały co grzebać w gruncie. Starsi powinni unikać kłopotu, sprzeczek z sąsiadami, natomiast posyłać biednym, co ochota i co kto może, to mleka, to jaj kilka, aby w ciągu roku o wszystkich pamiętać i być życzliwym dla drugich. Nie należy w wigilję wydawać pieniędzy, aby ich nie brakło w ciągu roku. W ciągu dnia uważa się, kto pierwszy z obcych przyjdzie do domu: jeśli kobieta, dziewczyna — to szczęście (n. p. gdy krowa cielna, to będzie cieliczka), a jeśli chłop, chłopiec — to nieszczęście (krowa cielna — byczek), zaś w stosunku do ludzi odwrotnie: „jak przyjdzie chłop, to szczęście na cały rok".

Kiedy obejście domu jest przyprowadzone do porządku, dziewczyny przystrajają izbę. Po odkurzeniu ścian, lub wybieleniu, wymyciu obrazów i t. p. zamiatają izbę, ale w odwrotną stronę niż zwykle, lub ze wszystkich rogów izby na środek, a śmieci biorą do fartucha i wychodzą z tem na próg domu, lub gnojowisko i wyrzucając, wykrzykują: Hu-uu-u ha! nadsłuchując, z której strony głos nadleci, bo z tej strony będzie pochodził mąż, lub też przyjjdzie kawaler. Natomiast tam, gdzie jest pasieka, gospodarz temi śmieciami obsypuje ule, aby się pszczoły dobrze chowały i przy rojeniu nie uciekały. Następnie myją podłogę, stoły, stołki, okna i t. p., a kiedy już wszystko jest zrobione, gospodarz przynosi ze stodoły żytnią słomę, a gospodyni z córkami zaściela nią podłogę. Na stół kładzie się słomę i siano, przywiązując na końcu powrósłem. Gdzie niegdzie kładą słomę i na ławach. Gospodarz zaś stawia w każdy kąt izby „kopki" (snopki) nieomłóconego zboża, po snopku z każdego gatunku. Także dawniej owijano słomą, lub szmatami, klamki i inne przedmioty, aby nie było stuku, gdyż w święta winna panować niezmącona cisza.

Wigilja, to dzień postny, to też dzieci i starsi wstrzymują się od spożywania mięsa i nabiału, dopiero w czasie wieczerzy można się najeść dosyta. Ludzie poszczą, ale o bydle się nie zapomina, więc bydło otrzymuje sutszy barłog. Kurom daje się jeść na przetaku, by się nie rozchodziły i nie gubiły jaj.

O zmierzchu, kiedy prace domowe są ukończone, wszyscy się myją, a przedewszystkiem nacierają się śniegiem, w braku tegoż, lodem lub wodą ze źródła, rzeki lub sadzawki, aby cera była czerstwa, zdrowa, by niebyło wyrzutów na ciele, oraz by w lecie słońce nie opaliło. Następnie ubrani odświętnie, wyczekują pierwszej gwiazdy na niebie, która jest sygnałem do rozpoczęcia uroczystej wieczerzy, jako też i rozpoczynających się świąt.

Izba odświetnie przystrojona. W jednym rogu izby st oi bogato ubrana choinka Na środku izby stół, nakryty obrusem, pod którym jest słoma i siano. Na stole leżą opłatki, obok pieniądze i dwie świeczki. Izbę zalega uroczysta cisza. Z chwilą ukazania się pierwszej gwiazdy, ojciec zapala świeczki, bierze opłatki ze stołu, rozdaje rodzinie i żegna krzyżem świętym, mówiąc: „Teraz będziemy wilję odprawiać, aby nam Pan Bóg pozwolił doczekać drugiej wilji w zdrowiu i dobrobycie". Podchodzi teraz do matki, łamie się z nią opłatkiem, następnie z najstarszym synem a matka z najstarszą córką i t. d., życząc zdrowia i szczęścia w Nowym Roku. Po tej ceremonji (która odbyła się stojąc), wszyscy zasiadają do stołu. Matka przynosi potrawy wigilijne, a ojciec podchodzi do drzwi lub okna, puka trzy razy i mówi: „Wilczku, chodź do nas na wieczerzę", przez co rozumieją, że gdyby największy wróg przyszedł, to się go prosi i wszystkim się przebacza. Na stole zjawiają się kolejno potrawy, zależnie od zamożności, 3—12. Najsamprzód gruszki z fasolą, śliwki z kaszą, kluseczki z makiem, fasola, ziemniaki z kapustą, a u zamożniejszych — ryba, a wkońcu matka podaje polewkę t. zw. siemieniatkę (ze siemienia konopnego), aby gardło nie bolało. Jedzono zwykle z jednej miski, ale każdy musiał mieć nową łyżkę, aby był, zdrowy, jak ta nowa łyżka (stare niszczono). W czasie wieczerzy uważano, żeby przy stole była parzysta liczba osób. Jeśli nie było pary, to zapraszano kogoś biednego, lub zostawiano wolne miejsce i łyżkę dla gościa, któryby mógł nadejść, (wierzono, że Pan Jezus chodzi w postaci dziecka, lub ubogiego), którego należy przyjąć gościnnie. Miejsce wolne w niektórych domach zostawiano dla ducha zmarłych, przeważnie ojca, lub matki. Również zwracano uwagę, czy każdy ma swój cień, brak cienia oznacza, że dany osobnik nie doczeka drugiej wigilji. Po wieczerzy liczono pestki, ile kto zjadł śliwek, tyle lat miał jeszcze żyć. Rozgryzano także orzechy (laskowe), żeby zęby były silne i zdrowe. Jeśli jednak ktoś natrafił na pustego orzecha, to wróżyli mu blizką śmierć. Wkońcu każdy otrzymywał kawałek kukiełki wigilijnej z miodem, aby życie było słodkie. W dawnych czasach, rożki z tejże kukiełki nawlekano na nitkę i noszono na szyi w podróży jako talizman, strzegący przed dzikim zwierzem. Kiedy już wszyscy powieczerzali, matka okruszynami z opłatka zatykała uszy, aby wszyscy mieli dobry słuch. Wieczerza kończy się wspólną modlitwą i odśpiewaniem kilku kolęd.

Po wieczerzy dzieci śpiewają kolędy przy rozświeconym sadzie (choince, drzewku), a rodzice robią

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI. Lwów.

Do przyjaciela.

Czego ty szukasz? ...szczęścia tu, na świecie? —
Niemasz go wcale na tym naszym globie!...
Ten kwiat ułudy wicher życia zmiecie;
Pod nogi rzuci go tobie! —
— Czego ty szukasz; prawdy, — czy miłości?...
Jednej, czy drugiej, mało dziś wśród ludzi!...
Prawda wysoko nad gwiazdami gości;..
Miłość — śpi!.. brzękiem kruszcu jej nie zbu-
[dzi...
A może szukasz spokoju dla duszy,
Tej męczennicy doczesnego świata?...
Codzienna walka wnet ci go rozkruszy
W drobne atomy pyłu, co rozlata
Za lada lekkim podmuchem wietrzyka
W bezmiar przestrzeni i kędyś zanika! —

Więc czego szukasz, — sławy, czy rozgłosu? —
Wielkości może?... Ach senne to mary!...
Sława to zeschły, kruchy kwiat lotosu;
Rozgłos, to oddźwięk roztłuczonej czary;
Wielkość, to bańka; podmuchem w dal gnana
Tęczowa cała, — jak bańka mydlana, —
Która cię nęci, rozkosznie, zdradziecko,
Lecz gdy rozpryśnie, zapłaczesz, jak dziecko!
Nim ją osiągniesz, świat cię zbryzga błotem
Choćbyś kryształem był, lub szczerem złotem,
Życie zatruje Ci jadem!...
Lecz gdy odejdziesz z ziemskiego padołu —
„On wielki!“... naraz zakrzykną pospołu
I pójdą za twoim śladem!...

Na grobie wieńce złożą ci laurowe,
Pomniki nawet stawią marmurowe,
I płakać będą po tobie...
Niepomni, że gdy żyłeś tu w ich kole,
Szarpali twoją cześć... zasługi, bole!...
Dziś — tyś już wielki... boś w grobie! —
Więc trzą to życie przejść swą własną drogą
Wolną złud, — pragnień trudnych do ziszcze-
[nia, —
Bo tacy tylko u schyłku mieć mogą
Pogodę ducha i spokój sumienia...

Lwów, 28 marca 1928.

---

z opłatków „świat“, którego dzieciom nie wolno dotykać, a który ojciec zawiesza u powały (sufitu) i tak wisi do drugiej wilji, na pamiątkę stworzenia świata (stary palą). Następnie resztki z wieczerzy ojciec z matką zanoszą bydłu, aby było zdrowe i dobrze się chowało, mówiąc: „Pamiętaj bydło, że dziś jest wilija, a jutro Boże Narodzenie“, każdemu z osobna, pomijając trzodę chlewną. Wychodząc ze stajni, ojciec obchodzi trzy razy dom i zabudowania wokoło, trzymając w ręce kawałek chleba i opłatka, aby się myszy i szczury nie lęgły, poczem chleb i opłatek pali w piecu. Okruszyny ze stołu matka zbiera i wynosi na ciszynę lub framugę okna dla ptaszków, aby wesoło Bogu śpiewały. Garnków, w których się gotowały potrawy wigilijne, nie myje się po wieczerzy, ale zostawia się w nich wszystkiego po troszce dla duchów, które jak wierzono, w nocy odwiedzają dom rodzinny.

Parobcy po wieczerzy, aż do Pasterki, ruszali na wieś, czyniąc różne psoty. Jeśli są gdzieś panny na wydaniu, a są dumne, zasmarowują okna, lub drzwi wapnem, smarem od wozu (mazią) a nawet kałem, gospodarzom zaś wynoszą wozy lub sanie na dach sąsiedni lub jakąś stodołę, co jedni uważają za figle młokłosów, inni zaś, że to zemsta, żeby się niczego niedorobił dany gospodarz. Jest to wielki wstyd dla tego, komu psotę wyrządzono, gdyż w Boże Narodzenie musi sprzątać, dziewczyny zaś ze łzami muszą myć okna czy drzwi.

Wigilja, to także dzień wróżby dla złodziei, to też grasują, aby, coś ukraść, aby mieć szczęście w ciągu nowego roku.

Przed pójściem na Pasterkę wróży się o stanie pogody. Rozkrawywa się cebulę i ustawia na stole 12 miseczek z miąszu, oznaczając każdą miseczkę nazwą miesiąca: styczeń, luty i t. d. Do każdej miseczki wsypuje się równą grudkę soli. Która miseczka pierwej rozpuści sól, ten miesiąc ma być mokry. Jeśli zaś w ciągu dnia wiszą okiście (sople) lodu na drzewach i opadają, to ma być urodzaj.

Przy kolędach spędzają czas do północy, następnie tłumnie wybierają się na Pasterkę. Utrzymuje się wiara, że o północy zwierzęta rozmawiają ludzkim głosem, albo chwalą, albo ganią gospodarzy, ale podsłuchiwać nie wolno, gdyż taki śmiałek na trzeci dzień umrze. Wierzono także, że woda w źródle o północy, na jedno oka mgnienie zamienia się w wino.

BOŻE NARODZENIE.

Dzień Bożego Narodzenia święcony jest nabożnie. Nic nie wolno robić, dawniej nawet nie zamiatano (była słoma na podłodze), a nawet nie gotowano. Ubrani odświetnie idą do kościoła, a po nabożeństwie nie zatrzymują się przed kościołem, jak zwykle na pogwarkę, ale każdy spieszy do domu, zwłaszcza panny na wydaniu, by cały rok być żwawemi i jak wierzono, by prędzej wyjść zamąż. Dziś już nie przestrzega się tego, że w pierwsze święto nie wolno z domu wy-

chodzić. lecz dawniej, kto się oddalił od domu na 50 kroków, wytykany był palcami i przezywany bezbożnikiem. Dzień spędzano ściśle w zaciszu domowem.

Panny w tym dniu (inne w św. Szczepana) wróżyły sobie o swej przyszłości. Zbierały kości z obiadu, oznaczały swem imieniem, i zatykały w pręty miotły. Wpuszczano psa. Której kość pies pierwszą porwał, ta miała pierwsza wyjść zamąż. Zaś ojcowie wprowadzali krowę, lub konia do izby, dając z ręki resztki obiadu. Obserwowano także dzień, wróżąc: jeśli dzień spokojny słoneczny, bez wiatru i zadymek, to ma być rok urodzajny. Jeśli zaś dzień mglisty, to zboże zjedzą glisty.

ŚW. SZCZEPAN.

Drugi dzień św. B. N. jest świętem odwiedzin i pamięci sąsiedzkiej. Sąsiedzi i krewni odwiedzają się wzajemnie, sypiąc się owsem i życzą sobie zdrowia, szczęścia i powodzenia. Z dniem tym jest związany zwyczaj święcenia owsa w kościele, którym po poświęceniu obrzucają księdza, na pamiątkę ukamienowania św. Szczepana. Część owsa gospodarz zostawia do siewu, inni zaś sypią w każdym rogu stodoły, by myszy nie cięły zboża.

Gospodarz w tym dniu puszcza koniom juchę z pyska, (nie krew, bo jak mówią, mają tylko Pan Bóg i człowiek), aby nie zołzowały, a następnie ujeżdża konia, by jaknajwięcej juchy uszło, co ma zabezpieczyć konia od różnych chorób.

Wieczorem, w dniu św. Szczepana, kolędnicy poczynają chodzić ze szopką, kozą i turoniem (zwany tu toruś). Szopkarze odgrywają jasełka, posługując się lalkami, zaś toruś i koza figlami rozwesela domowników.

A oto jakie figle płata koza:

Z kozą chodzi zwykle trzech chłopców: gospodarz, służący i kupiec.

Służący prowadzi kozę, gospodarz idzie obok, pykając fajeczkę, a kupiec zatrzymuje ich, chcąc kupić kozę i prowadzą rozmowę:

— Gospodarzu? — Sprzedacie kozę?

— Dlocego nie —

— Ile chcecie?

— 20 złociszków.

— Chybaście zwarjował? 20 złotych za kozę? Mocie wy rozum?

— A dziesiątki nie wziąłbyście?

— Mało, dołóżcie.

— No to wy popuśćcie. Dom 11 złotych.

— Docie 15 złociszków to będzie wasa, a nie, to nie Chyboj mały.

— Cóż się tak sierdzicie. A 12 wystarczy? No a 14?

— Nie chyci. 15 i koniec.

— Ale twardo z was jucha. Trzymojcie.

— No, niech Bóg prowadzi.

— Ale, ale, czy, aby ta koza zdrowa?

— Juści, przecie widzicie.

— No to pokażcie, co ona umie (Teraz sprzedający śpiewa, a koza tańczy):

Idzie koza od krainy do krajny
podkówkami krzesze,
Idzie za nią grzeczna panna
grzebykiem ją czesze.

Czesała ją grzebyczoskiem
Czesała ją szczotką,
Smarowała buzię miodem,
żeby miała słodką.

Wyszła koza na góreczkę
kopytkami krzesła,
cztery razy buzi dała
za kieliszek sznapsa.

— Koziu, postaw dęba. Kozia stawia dęba, rzuca się po izbie, figluje, bodzie, w izbie krzyk i pisk.

— Koziu, pokaż, jak stare panny legają? Koza

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI. Lwów.

Tragedja życia.

Nikt nie wie co los zdarzy!...
Wszystko w Bożej dłoni!...
Na ziemi, błędny człowiek ciągle szczęście goni,
Niby dziecię motyla, który w dal ulata,
Kalecząc się o ciernie i o głazy świata
Po to, — by nad mogiłą, ustami zbladłemi
Wyszeptać wreszcie: —
...Szczęścia niemasz na tej ziemi!

Jedni pragną je znaleźć w nieśmiertelnej [chwale; —
Inni w miłości, — inni w upojenia szale;
W hazardzie gry; — w zawrotnej za złotem [pogoni!...
— Lecz, kiedy je pochwycą i trzymają w dłoni,
Spostrzegą, że to złuda, — od szczęścia daleka,
Że wymarzone szczęście znowu w dal ucieka!—

Więc gonią za niem dalej... i tak w kółko [wiecznie,
Krążą niby planety dookoła słońca,
Byle je tylko dognać, — pochwycić koniecznie!...
...Jest to tragedja życia, niemająca końca,
Bo jak długo glob ziemski jeszcze istnieć będzie,
— Człowiek będzie je gonił, ...lecz go nie posię- [dzie! —

Lwów, 13 stycznia 1930.

przewraca się, czule wzdycha, to wstaje, to zaś ciężko stęka, aż w końcu zdycha.

— Hej, wróćcie pieniądze, bo koza zdechła.

— Co godocie? Gdzieby ta zdechła. Kiepski z was doktór. To nie wiecie, co jej trzeba?

Koza na te słowa wstaje i postawiwszy jeszcze parę koziołków, wychodzi.

Święty Szczepan, to dzień wesoły, urozmaicony kieliszkiem i dobrym humorem. W tym dniu dawniej odbywały się swaty.

* * *

Począwszy od św. Szczepana ksiądz chodzi po kolędzie, dawniej dawano mu zboże, dziś pieniądze. Kiedy ksiądz po odbytej ceremonji wyjdzie z mieszkania, na jego miejscu siadają panny, wierząc, jedne, że będą rosły ładne, długie włosy, inne, że pierw wyjdą zamąż.

* * *

W dawnych czasach, babcie i dziadkowie obserwowali dni i noce od B. N. do Trzech Króli, czy są pogodne, pochmurne, czy też wietrzne. Jeśli wietrznie, pochmurno, słowem niepogoda w Szczepana — to bydło się będzie tyrało (zdychało), w Jana — to źle na grube ryby (panów), w Młodzieniaszków — to dzieci będą zmierały, w Tomasza — źle na kobiety przy porodzie, w Eugenjusza — źle na starców, w Sylwestra — żołnierze źle się będą bić, w następny dzień wietrznie — dziewki się będą kozaczyć, jak zaś gwiazdy migocą — to parobki się będą bijać po weselach, i t. p. Jeśli zaś w tym czasie pogodnie — to rok będzie szczęśliwy. Także w tym okresie, od św. Łucji do Trzech Króli czarownice czarują bydło.

NOWY ROK.

W wigilję Nowego Roku, po nieszporach, dziewczęta zamiatają podłogę po raz pierwszy od wieczerzy wigilijnej, a śmieci (ze słomy zaścielonej we wigilję) o świtaniu w Nowy Rok gospodarz wynosił na pole i siał, mówiąc: „Bóg się urodził na sianie, na każde stajanie". Na obornik nigdy nie wyrzucano tych śmieci, bo to słoma święta. Siano zaś ze stołu daje się bydłu. Kopki, które stały w rogu izby, wynosili w pole i zatykano na zagonie, aby był dobry urodzaj. Słomę ze stołu rzucano za stragarz (jedni we wigilję po wieczerzy, inni zaś w B. N., a inni w Nowy Rok) i ile się ździebeł zawiesi, to tyle ma być kóp zboża w przyszłym roku. Kłosy (plewki) jęczmienia i owsa wiązano, aby się dobrze wiązał (obrodził). Pozostałą słomą ze stołu wigilijnego gospodarz w Nowy Rok (inni w wigilję po wieczerzy, lub po Pasterce, inni w B. N. po sumie, a jeszcze inni w Trzech Króli), ale przed tem musiał być w kościele, wracając do nikogo nic nie mówić, tylko brał słomę, szedł do ogrodu, owiązywał drzewa owocowe i strząsał trzy razy, mówiąc: „Róś i ródź", inni mówią: „Chrystus się narodził i ty też drzewinko pamiętaj o tem, byś rodziła".

W Nowy Rok zmieniano służbę. Parobek, czy dziewczyna, odchodzili zawsze po obiedzie, otrzymując wynagrodzenie umówione przy najmie, ze słowami: „Ostańcie z Bogiem", całując w rękę chlebodawców, którzy odpowiadali: „Idź z Bogiem". Nowo zgodzona służba otrzymywała kolędę (pieniądze lub coś z ubrania) i nie śmiała odejść, aż w przyszły Nowy Rok, chociażby było w ciągu roku bardzo źle. Kto nie wytrwał roku u gospodarza, to oznaczało, że nie jest wytrwały w Bogu i taką służbą gardzili inni i nie przyjmowali do pracy.

TRZECH KRÓLI.

W Trzech Króli święcą w kościele wodę, której każdy ma wypić jeden łyk, aby uchronić się od czarownic, następnie święcą kredę, jałowiec i czosnek (święci gospodyni), czem też po powrocie z kościoła okadza mieszkanie, chlew (krowy), oraz bydło przy cieleniu i wypędzaniu w pole po raz pierwszy. W dniu tym chłopcy chodzą po kolędzie z gwiazdą.

Z życia Szkoły im. św. Marcina we Lwowie.

Szkolna zabawa.

Dnia 11-go listopada b. r. odbyła się zabawa z okazji Patrona św. Marcina. Przed zabawą dziewczynki ze starszych klas przystroiły aulę zielenią i festonami z bibułki. Na zabawę przyniosłyśmy różne fanty i smakołyki do bufetu. Na zabawie było dużo dziewczynek, to też miło było bawić się w klasach, a co pewien czas schodzić do sali na wesołe pląsy przy dźwiękach muzyki. Oprócz tego było wiele niespodzianek. Dziewczynki były ubrane odświetnie, jedne w stroje ludowe, inne w mundurki szkolne. Miło i prędko zleciał ten wesoły czas, o którym wspominamy z przyjemnością.

Marja Cichocka, klasa VI b.

Prenumeratę na „Straż Polską“ na Nowy Rok 1935 przesyła się czekami PKO, lub wolnymi od porta przekazami rozrachunkowymi!

Z Państw. Seminarjum dla Naucz. rel. mojż. w Warszawie.

(Korespondencja własna „Straży Polskiej“).

(Dokończenie).

Wpisowe wynosi rocznie 100 marek i winno być wnoszone w dwu ratach przed 1 listopada i przed 1 marca. — Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego — podp. Antoni Ponikowski. — Dyrektor Departamentu Wyznań — podp. Bronisław Dembiński — Warszawa, dnia 16 października 1918 r. — W związku ze zmianą ustroju szkolnictwa, dokonaną ustawą z dnia 11 marca 1932, która stara się zapewnić obywatelom Rzeczypospolitej najwyższe wyrobienie religijne i moralne oraz przygotować odpowiednich nauczycieli w 3-ch letnich liceach — pedagogicznych względnie 2-letnich Pedagogjach. Stała się też aktualna sprawa reformy Seminarjum. Chodzi o zastosowanie programu powstać mających liceów pedagogicznych. Dyrektor Seminarjum dr. Majer Tauber opracował więc projekt statutu, przedłożony wyższym Władzom do zatwierdzenia. Projekt brzmi:

I. Cel i organizacja. 1) Celem Zakładu Nauczycieli religji mojżeszowej jest kształcenie kandydatów na nauczycieli religji mojżeszowej w szkołach powszechnych 2) Zakład obejmuje czteroletni kurs przygotowawczy i trzyletni kurs pedagogiczny. 3) Przy Zakładzie istnieje szkoła ćwiczeń o programie, przystosowanym do potrzeb Zakładu. Nadto Zakład korzysta w miarę potrzeby ze szkół powszechnych, wyznaczonych przez władze szkolne, dla praktycznych ćwiczeń uczniów Zakładu. 4) Liczba uczniów w poszczególnych oddziałach kursu przygotowawczego nie może przekraczać 40, a w poszczególnych oddziałach kursu pedagogicznego 30. 5) Pod względem kwalifikacyj stosuje się do nauczycieli Zakładu przepisy, ustanowione dla nauczycieli szkół średnich ogólnokształcących i liceów pedagogicznych. Mianowanie dyrektora i nauczycieli odbywa się w trybie przepisanym dla nauczycieli szkół średnich ogólnokształcących i liceów pedagogicznych. 6) Kierownictwo Państwowego Zakładu Nauczycieli Religji Mojżeszowej sprawuje dyrektor przy współudziale Rady Pedagogicznej. 7) Przy Zakładzie ustanawia się Radę Opiekuńczą, do której wchodzą: a) dyrektor Zakładu, b) czterej członkowie, powołani na okres trzyletni przez zwierzchnią władzę szkolną, c) delegat zarządu Gminy wyznaniowej żydowskiej w Warszawie, d) delegat Rady pedagicznej. Rada Opiekuńcza czuwa nad rozwojem Zakładu, obmyśla i organizuje pomoc materjalną dla uczniów, oraz ułatwia absolwentom zakładu otrzymywanie posad.

II. Uczniowie. 8) Na pierwszy rok kursu przygotowawczego przyjmuje się kandydatów, którzy w danym roku kalendarzowym kończą conajmniej lat 12, a nie przekroczyli lat 16. Wyjątki ponad wiek przepisany mogą być czynione za każdorazowem zezwoleniem władz szkolnych. 9) Na pierwszy rok przygotowawczego Zakładu przyjmowani są kandydaci: a) mający świadectwa ukończenia drugiego szczebla szkoły powszechnej, b) na podstawie egzaminu wstępnego. 10) Wszyscy kandydaci winni złożyć egzamin wstępny z przedmiotów judaistycznych. 11) Na kurs pedagogiczny przyjmowani są kandydaci, którzy w danym roku kalendarzowym kończą conajmniej lat 16, a nie przekroczyli lat 20. Wyjątki ponad wiek przepisany mogą być czynione za każdorazowem zezwoleniem władz szkolnych. 12) Na kurs pedagogiczny przyjmowani są kandydaci: a) mający świadectwo ukończenia kursu przygotowawczego Zakładu, b) mający świadectwo ukończenia gimnazjum ogólnokształcącego państwowego, lub prywatnego z prawami gimnazjów państwowych, po złożeniu egzaminu uzupełniającego z przedmiotów judaistycznych, c) na podstawie egzaminu wstępnego w zakresie wszystkich przedmiotów, wykładanych na kursie przygotowawczym. 13) Uczniowie Zakładu opłacają taksy, ustanowione dla państwowych zakładów kształcenia nauczycieli. 14) Dla uczniów zamiejscowych istnieje przy Zakładzie internat, zorganizowany na podstawie regulaminu internatów przy państwowych zakładach kształcenia nauczycieli. 15) Uczniowie Zakładu, otrzymujący stypendja z funduszów państwowych, obowiązani są bezpośrednio po uzyskaniu dyplomu do dwuletniej pracy nauczycielskiej w publicznych szkołach powszechnych. Uczniowie, którzy nie spełnią powyższego zobowiązania, winni zwrócić na rzecz Skarbu Państwa w całości kwotę, pobraną tytułem stypendjum.

III. Program i organizacja nauki. 16) W zakresie programu nauki w Zakładzie wchodzą w zasadzie przedmioty: a) wykładane w szkołach

Hallo — tu polskie Radjo — Lwów...



Wielkie studio Polskiego Radia we Lwowie, z którego na falach eteru przemawia kulturalna i artystyczna elita miasta, a nad doborem audycyj czuwa niestrudzenie dyrektor programowy J. Petry.



Jerzy Tepa popularny autor głośnej sztuki „Fraulein Doktor", speaker Radja lwowskiego i twórca przepięknych słuchowisk.

średnich ogólnokształcących i liceach pedagogicznych, b) przedmioty judaistyczne. Szczegóły programu, oraz liczbę godzin, przeznaczonych na naukę poszczególnych przedmiotów, ustali zwierzchnia władza szkolna osobnem zarządzeniem. 17) Językiem wykładowym w Zakładzie jest język polski, z wyjątkiem przedmiotów judaistycznych, które są wykładane po hebrajsku 18) Rok szkolny rozpoczyna się i kończy jednocześnie z rozpoczęciem i zakończeniem roku szkolnego w państwowych zakładach kształcenia nauczycieli. Od zajęć wolne są soboty, święta żydowskie, ogólne ferje zimowe, ferje Wielkanocne (Pesach) i święta państwowe.

IV. O egzaminie i dyplomie. 19) Po ukończeniu nauki w Zakładzie uczniowie otrzymują dyplom na nauczyciela religji mojżeszowej w szkołach powszechnych, ewentualnie także świadectwo, kwalifikujące do studjów w szkołach wyższych. Warunki otrzymania dyplomu, oraz świadectwa kwalifikującego do studjów w szkołach wyższych, jakoteż zakres studjów, do których to świadectwo uprawnia, ustali zwierzchnia władza szkolna osobnem rozporządzeniem, analogicznie do przepisów dla państwowych liceów pedagogicznych.

V. Przepisy końcowe. 20) Statut niniejszy wchodzi w życie z dniem 1 września 1932 roku. Całkowite przekształcenie Państwowego Seminarjum dla kształcenia nauczycieli religji mojżeszowej w Warszawie na Państwowy Zakład Nauczycieli Religji Mojżeszowej w Warszawie zostanie przeprowadzone w ciągu pięciu lat od wejścia w życie niniejszego rozporządzenia. Z wejściem w życie niniejszego statutu traci moc obowiązującą statut królewsko-polskiego Seminarjum dla nauczycieli religji mojżeszowej w Warszawie z dnia 16 października 1918 roku (Dz. Urz. Min W. R. i O. P. Nr. 6 poz. 25 i Nr. 101 poz. 426). Należy się spodziewać, że projekt ten zostanie przez czynniki miarodajne zatwierdzony w całości, i napewno jeszcze bardziej przyczyni się do podniesienia poziomu Seminarjum, oraz nauki religji mojż. w szkołach powszechnych.

Warszawa, 1934. Rabin Aleksander Halpern.

STOCHEL STANISŁAW. Myślachowice.

Wigilja samotnika.

Pienia chóru płyną tu z oddali —
wieści — tony — —
Północ łuną pożaru się pali —
biją dzwony — —
Rodziny łączy biały opłatek —
„Bóg się rodzi" — — —
Radością dźwięczy śpiew małych dziatek —
Chrystus — schodzi — —
Samotna dolo! — wiatrem pędzona —
gdzie twa gwiazda?
Samotna dolo! — życie kona —
brakiem gniazda...



Na wesołej lwowskiej fali...

Mgr. Wiktor Budzyński, utalentowany kierownik literacki i art. lwowskiej „Wesołej Fali", bezkonkurencyjny w humorze mimo licznych naśladownictw.



Nina Fedorówna,
znana artystka, zwana polską Franciszką Gaal (Csibi), wystąpi tym razem przed mikrofonem lwowskiego Radja.

KRYSTYNA WALIGÓRSKA. Toruń.

Myślę o słońcu...

Już jest dobrze i cicho i serce nie boli...
Już pogodna twarz moja, roześmiane oczy..
Nie myślę o tem już, co zamną kroczy...
I o złem, co mnie czeka jeszcze w mojej doli...
Choć deszcz pada na dworze, ja myślę o słońcu,
Które jeszcze zabłyśnie tęczą swych promieni...
Nie widzę tych szarych stąpających cieni...
Nie chcę, patrząc na kwiaty, myslеć o ich końcu...
Nie chcę, patrząc na dzieci, myslеć że dorosną..
Ani myśleć o śmierci, słysząc dzwonów bicie...
Wolę ku światłu zwracać swe źrenice
I czekać Nowego Jutra, które przyjdzie z Wiosną..
Wolę to nowe Jutro stroić, w piękne kwiaty,
Tworząc barwny kobierzec dla mojej przyszłości,
Bo na nim szukać będę Dobra i Miłości,
Które oblokę w nowe, nieskalane szaty...

W drodze losowania w r. 1935 otrzyma każdy dwudziesty odbiorca „Straży Polskiej" osobną PREMJĘ KSIĄŻKOWĄ.

Z teatru.

Teatry Miejskie we Lwowie grają w grudniu 1934:

„IGRASZKI MUZYCZNE", sztuka R. Mackienzie'go

„POD ZARZĄDEM PRZYMUSOWYM" Arnolda i Bacha.

„12 GODZIN PRZYGÓD", wschodnia bajka dla młodzieży Janusza Warneckiego.

„ROZKOSZNA DZIEWCZYNA", Ralfa Benatzky'ego.

„CZŁOWIEK I NADCZŁOWIEK", Bernarda Shawa.

„CUDZE DZIECKO", komedja W. Szkwarkina.

„ZEMSTA", A. FREDRY, w nowej inscenizacji reż. Tatarkiewicza.

„PASTORAŁKI", L. Schillera — reż. Krasnowieckiego.

„BŁĘDNY BOKSER", przez Wł. Smólskiego, — reż. Niewiarowicza.

Zeszyt styczniowy (najbliższy) „Straży Polskiej"

poświęcony zostanie

POWSTANIU STYCZNIOWEMU 1863 r.!

Już obecnie zapewnić Sobie należy dostawę tego pięknego ilustrowanego numeru przez odwrotne zapłacenie prenumeraty!

Wiadomości bieżące.

Recenzje z wydawnictw. *„Przegląd Ekonomiczny“*, wydawany we Lwowie przez zasłużone Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, zamieszcza w nrach 46–54 i 54–58, stanowiących okazałe tomy, prace: Haliny Krahelskiej, Rogera Bataglii, Cezarego Łagiewskiego, Al. Kielskiego, Gabr. Sokolnickiego, Emila Bratro, Prezesa Pol. Tow. Ek., Prof Dr. Leopolda Caro, Edw. Lipińskiego, J Pełczyńskiego, Min. Stefana Starzyńskiego, W. Zakliki i i. — *„Echo nauczycielskie“*, organ Zw. Naucz. Pol. w Tarnopolu, przynosi obfity w fachową treść numer 9 z listopada br. Tematy referatów ciekawe — *„Niezależna myśl nauczycielska“*, Poznań, nr. 1 i 2 zawierają starannie oprac. treść i ilustracje. — *Prof. Mieczysław Romanowski: Pieśni dla młodzieży*, słowa dr. Wacława Romanowskiego. Muzyka znanego kompozytora, cenny nabytek dla chórów szkolnych itp. Wyd. chlubnie świadczy o talencie twórcy zbiorku. — *„Przegląd Morski“* nr. 66—68, miesięcznik Marynarki Wojennej, wyd. przez Szkołę Podchor. Mar. w Toruniu. — *Dr. Wacław Romanowski: Zbiorek wierszy*; Przemyśl 1933. Miła wiązanka wrażeń ujętych w formę poetycką. — *„Biuletyn polsko-ukraiński“*, tygodnik il. o przewodniej idei krzepienia ugody polsko-ruskiej, wych. w Warszawie pod red. Włodz. Bączkowskiego i Konst. Symonolewicza jnr. — *„Polska Niepodległa“*, pismo wych. we Lwowie, nr. 36 za październik br. odznacza się zasadniczymi błędami stylistycznymi i ortograficznymi i jest w swoim rodzaju unikatem publicystycznym, świadczącym o nadużyciu nazwy pisma.

Do P. T. Gmin i Czytelń szkolnych *oraz redakcyj czasopism młodzieży, zwracamy się z apelem o nadsyłanie korespondencji i pism szkolnych — celem zobrazowania na łamach „Straży Polskiej“ życia młodzieży na terenie Zakładów naukowych w Polsce.*

Nowe prezydjum m. Lwowa. Rada m. Lwowa dokonała wyboru nowego Prezydjum miasta, w skład którego weszli pp. Prezydent ***Wacław Drojanowski*** (b wicewojewoda, sprężysty organizator samorządu miej. poświęcający wiele trudu uzdrowieniu stosunków miejskich oraz starań zmierzających do poprawy urządzeń i wyglądu Lwowa), dalej wiceprezydenci: *Dr. Stanisław Ostrowski* (wybitny lekarz i prezes Związku Obrońców Lwowa), *Dr. Jan Weryński* (naczelnik Biura pers. Kuratorjum Okr. Szkolnego lwow., znany działacz społ., kier. Zw. Strzeleckiego, odznacz Krzyżem Kaw. ord. Polonia Restituta, znawca samorządu) oraz W. Chajes, repr. żydów.

Z **powodu nawału materjału** numer grudniowy „Straży Polskiej“ nie mógł już pomieścić tych wszystkich cennych prac, jakie nadesłano do redakcji z terenu całej niemal Polski W numerze styczniowym (1-szym za r. 1935) postaramy się zamieścić wszystkie nadesłane nam art. i utwory, jak również korespondencje szkolne i z placówek oświatowych, których życiu i pracy poświęcać będziemy znaczną część łamów. Również dokończenia niektórych art. zmuszeni byliśmy odłożyć do stycznia.

***P. T. PRENUMERATORÓW** prosimy u wrót Nowego Roku o wyrównanie wszelkich zaległości, oraz o odwrotne wysłanie przedpłaty na rok 1935!*

„STRAŻ POLSKA“ podaje do wiadomości, że nie ma nic wspólnego z wydawnictwami: „Bibljoteka pomocnicza do nowego programu naucz. w szkołach“, „Historja Żydów“, „W 20 rocznicę Czynu zbrojnego“, „Szkoła polska w państwie niep.“ i „Polska niepodległa“, ani też z ich wydawcą J. Lachowskim ze Lwowa.

Czasopismo „STRAŻ POLSKA“ wychodzi każdego miesiąca.

Redaktor naczelny, odp., wydawca i kierownik literacki: STEFAN RAYSKI.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lwów, plac Dąbrowskiego 5. — Telefon red. nacz. i redakcji nr. **86-07.**
Konto czekowe P. K. O. Lwów nr. **504.510** („Straż Polska“) i nr. **504.101** („Genjusz Niepodległości“).

Godziny urzędowe od 9 do 16 z wyjątkiem niedziel i świąt. — Rękopisów redakcja nie zwraca.

Cena egzemplarza **80** groszy. — Prenumerata roczna zł. **9·50,** półroczna zł. **5·—** z przesyłką.

Składano i tłoczono w drukarni S. Bednarskiego, Lwów, Rynek 9. Telefon nr. 76-14.
Klisze wykonała F-a „Klisz“ we Lwowie, ul. Sykstuska 10. Telefon nr. 48-46.

celem zobrazowania na łamach „Strażnicy Polskiej” dziejów [illegible] na terenie Lwowa [illegible] Polsce.

Nowe przygotowania we Lwowie. [illegible] wa dokonała wyboru nowego Prezydenta miasta, którego urzędu po Prezydencie Wacławie Drojanowskim (b. wicewojewoda, opracował organizator samorządu miej. poświęcający wiele trudu uatrakcyjnieniu stosunków miejskich oraz starań zmierzających do poprawy urządzeń i wyglądu Lwowa), dalej wiceprezydent (dr Stanisław Ostrowski (wybitny lekarz [illegible] [illegible] Lwowa), Dr. [illegible] [illegible]

Recenzje z wydawnictw. „Przegląd Gospodarczy”, wydawany we Lwowie przez zasłużone Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, opublikował w zeszytach 48–54 i 54–58, zawierających między innymi prace: Haliny Krahelskiej, Rogera Battaglii, Czesława Lagiewskiego, Al. Bielskiego, Gabr. Szkolnickiego, Emila Brona, Prezesa Pol. Tow. Ek., Prof. Dr. Leopolda Caro, Edw. Lipińskiego, J. Pełczyńskiego, Min. Stefana Starzyńskiego, W. Zakliki i i. — „Echo gimnazjalne”, organ Zw. Naucz. Pol. w Tarnopolu, przynosi ciekawą w rzeczową treść numer 9 z [illegible] ciekawe. — „Miesięcznik [illegible]”, Poznań nr. 1 i 2 [illegible] — „Kraj”, „Marzycielem [illegible] szkolnych”, [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] — „Przegląd [illegible]” [illegible] Dr. [illegible] [illegible] [illegible] „Polska Niepodległa”, [illegible] [illegible]

Dr. [illegible] [illegible] [illegible]

Czasopismo „[illegible]”

Redaktor naczelny, odp., wydawca i kierownik literacki: STEFAN MAYEK.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lwów, plac Dąbrowskiego 5. — Telefon red. nacz. i redakcji nr. 58-07.
Konto czekowe P. K. O. Lwów nr. 504590 („Strażnica Polska”) i nr. 504191 („Ognisko Niepodległości”).

Godziny urzędowe od 9 do 16 z wyjątkiem niedziel i świąt. — Rękopisów redakcja nie zwraca.

Cena egzemplarza 80 groszy. — Prenumerata roczna zł. 9·50, półroczna zł. 5·— z przesyłką.

Składano i tłoczono w drukarni S. Sedmarskiego, Lwów, Rynek 9. Telefon nr. 78-14
Klisze wykonała F-a „Klisz” we Lwowie, ul. Sykstuska 10, Telefon nr. 48-46